Nr. 13. Poznań, Niedziela 24go Czerwca 1894 r. Rok I.

PRZEGLĄD POZNAŃSKI.

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

„Przegląd Poznański“ wychodzi w każdą Sobotę.
Redakcya: Poznań, Bramkowa ul. 7.
Administracya: Piekary 7.
Rękopisów drobnych nie zwracamy.

Przedpłata kwartalna wynosi **w Poznaniu** 3 Mr. (przyjmuje Administracya Piekary 7), **w Niemczech i Austryi** 3,75 Mr. (fl. 2,25), w innych krajach europejskich i w Ameryce 4,00 Mr. Prenumeratę przyjmują: **Administracya, księgarnie i urzędy pocztowe w Niemczech i Austryi pod lit. II t. 86. a.**

Ogłoszenia: 20 fenigów od wiersza petytowego.
Pojedyńczy numer: w Poznaniu 35 fen. pod opaską 40 fen.

TREŚĆ:

Wiec katolicki w Poznaniu.

I.

Badając objawy życia narodowego, wpatrując się niedyskretnie w zakulisowe tajniki działań politycznych, łącząc charakterystyczne słówka i półsłówka prasy w pasma jednolite, porównując wreszcie z niedawną przeszłością wszystko, co dzień dzisiejszy nam niesie — stanąć musimy wobec dziwnie zatrważających rezultatów.

Pamiętamy wszyscy jeszcze dzieje walki kulturnej... Gdy żelazna ręka ks. Bismarcka uderzała brutalnie w Kościół katolicki, gdy gmach zbudowany na Piotrowej skale jęczał pod nawałem gromów kanclerskich, a słudzy jego krzyż Chrystusowy na barkach swoich dźwigali, wtedy naród polski zerwał się z okrzykiem boleści na ustach do walki za wiarę, za kościół, za kapłanów swoich. I stała się wonczas rzecz dziwna. Cała prasa polska bez względu na barwę swoją stanęła w obronie kościoła. Na szańcach zjawiły się kolumny wolnodumców, którzy wprzódy drwili z dogmatu i urągali potędze kościoła, a nawet najskrajniejsze organy liberalne Księstwa, Galicyi i Królestwa Polskiego protestowały przeciw uciskowi katolicyzmu. U nas w Poznańskiem wykonał wonczas „Dziennik Poznański“ pamiętny swój odwrót. Wróg Watykanu i sceptyk religijny zawinął do portu najgorliwszego katolicyzmu i położył w zawierusze religijnej niezaprzeczone zasługi około kościoła. A cóż mamy mówić o poświęceniach ludu polskiego? Karty historyi i ustna tradycya opowiadają dziwy cudowne o tych cichych tragedyach wielkopolskich łanów, o łzach wylanych za wiarę uciskaną, o ofiarach na ołtarzach złożonych i o fanatycznej nieomal miłości dla duchowieństwa katolickiego. Prawnuki dawnych rycerzy, którzy za krzyż przeciw półksiężycowi walczyli, tu znowu praw kościoła z bohaterskim bronili zapałem. A w chwilach bolesnych zapasów kościół ten był prawdziwie narodowym i tak silnie zrósł się z polskością, że dwie potęgi — narodowa i wyznaniowa — nierozerwalną stanowiły całość, broniąc się, wspierając i miłując nawzajem. Polsko-katolickie piętno wyciskano na wszystkich objawach narodowego życia i patryotyzm skrzydłem anioła stróża kościół otaczał, a kościół ani na chwilę nie zapominał o powinnościach swoich względem narodu, o serdecznej i gorącej miłości polskiego kraju i ludu. Zdawało się, że w uścisk braterski złączeni, pójdziemy razem w przyszłość niepewną i nic przymierza świętego rozerwać nie zdoła.... A jednak inaczej się stało. Tryumfem kościoła skończyła się walka kulturna, a gdy rozchmurzyło się niebo nad Piotrową skałą, ujawniły się zwolna zatrważające znamiona w społeczeństwie poznańskiem. Narodowe zabarwienie kosmopolitycznego olbrzyma katolicyzmu traciło z dnia na dzień intenzywność swoją, a objaw ten w najświeższym czasie znaczniejsze przybiera rozmiary. Już coś w rodzaju trwożnego przeczucia ogarniać nas poczęło, gdy z Niemiec i Francyi importowano do nas egzotyczne towarzystwa z etykietą czysto katolicką, a w około szeptać poczęto, że istnieje tendencya, aby siecią takich instytucyi cały zabór pruski zarzucić resp. stowarzyszenia przemysłowe w „katholische Gesellen- und Meistervereine“ zamienić. Nikt głośno o tem mówić się nie odważył, ale raz po raz ukazywały się w prasie charakterystyczne domyśIniki i ludzie przyciszonym głosem snuli długie o nowych prądach gawędy. Dla nas te zrazu nieśmiałe przejawy obcych nam dążeń nie były bezwzględnie przekonywającym dowodem jakiegoś na daleką przestrzeń obliczonego, niebezpiecznego systemu, ale ogarniał nas dziwny niepokój i oko coraz uważniej wpatrywało się w czyny dawnego sprzymierzeńca, dla którego w chwilach niebezpieczeństwa składaliśmy wszystko w ofierze. Mijały tygodnie, miesiące i lata, a uważna analiza do coraz smutniejszych uspasabiała refleksyi. Zatrważającem mianowicie było stanowisko, zajmowane przez „Kuryera Poznańskiego“, ultrakatolicki organ, w sprawach narodowych, a istotnie trzeba zimnej krwi niemało, aby spokojnie mówić i pisać o postępowaniu tego czasopisma w ostatnich miesiącach. Nie prezentujemy tu „Kuryerowi“ wyczerpującego rachunku sumienia, ale sięgamy jedynie do najświeższej przeszłości, w której organ ten zrzucił maskę zupełnie i odsłonił tak cyniczne, tak pozbawione narodowego wstydu oblicze, że człowiek rozpaczliwie spoglądał w około i pytał, ażali dziennik taki synowie polskiego redagują ludu. W chwilach pamiętnych, gdy cały naród hołd złożyć pragnął bohaterowi Racławic, ciskał „Kuryer Pozn.“ w twarz patryotów jadem sarkazmu i niechęci jawnej. Obywatelstwo poznańskie gromadzi składki na obchód narodowy, a „Kuryer“ drwi i stłumić się stara narodową ofiarność. Komitet postanawia utworzyć stypendyum imienia Kościuszki, a „Kuryer uderza rękę żądającą narodowych składek i urąga ludziom gorącego serca. Przez kilka tygodni trwały napaści klerykalnego czasopisma, a nikt z opiekunów jego do porządku nie powołał owładniętego chorobliwym lojalizmem organu.

Minął jubileusz i nadszedł dzień wiecu katolickiego. Rzecz dziwna! Gdy naród uczcić pragnął Tadeusza Kościuszkę, — słońce promienne, które blaskami swojemi rozjaśniło mroki dziejowe — wtedy „Kuryer Pozn.“ i ojcowie jego zawrzeli gniewem i cichym lub głośnym protestem. Mówiono o demonstracyach, o „szopkach narodowych“, o drażnieniu rządu i tym podobnych straszakach, ale wszystkie obawy w nicość się rozwiały, gdy zadźwięczało czarowne słowo „Wiec katolicki“. Tryumfalne pochody, rzucanie kwiatów, uczty, koncerty, msze uroczyste — najwyszukańsze manifestacyjne popisy otrzymały tytuł „obowiązku“, a wyraz „demonstracya“ zniknął ze słownika. Cóż z tego, że gniew się zbudzi w sercu p r o t e s t a n c k i c h Prusaków, — my katolicy spełniamy tylko powinność. Wam jednak Polacy nie wolno czcić bohaterów narodowych, bo ubliżacie n i e m i e c k i e m u patryotyzmowi.

I oto odbyła się na poznańskiej ziemi wspaniała manifestacya katolicyzmu, a na ustach ludu polskiego znowu bolesne zjawiło się pytanie, czy polsko-katolickie, braterskie przymierze wraz z walką knlturną w gruzy się rozpadło? Stało się! upodrzędniono zupełnie polskość katolicyzmowi i odbył się wiec z etykietą czysto katolicką, wiec, w którym nuta narodowa odzywała się albo przypadkiem bez programowej intencyi, albo wtedy, tylko, gdy i n t e r e s k a t o l i c y z m u t e g o k o n i e c z n i e w y m a g a ł. Napróżno zażądano z stron kilku zmiany programu, napróżno ostrzegano przed czysto katolickim charakterem, napróżno starano się o połączenie znamion wyznaniowych z narodową barwą: autorowie wiecu nietylko odrzucili ostrożnie „polskie pretensye“, ale nadto czuwali bacznie, aby wykluczyć o ile możności wszystkie szczegóły, zdradzające narodowe aspiracye. Tak postanowiono niczem nie ujawnić sympatyi dla wiecu „p o l s k o - k a t o l i c k i e g o“ w Gdańsku i Bochum, a radzono gorliwie nad nawróceniem murzynów i podróżą do Palestyny.

Obok tej ogólnej tendencyi bezwzględnego upodrzędnienia charakteru narodowego interesom katolickim pojawiła się tendencya druga, która z po za dyskretnych przesłonek dźwięczała wyraźnie w mowach wiecowych. Tam, gdzie w interesie katolicyzmu dotykano spraw politycznych, tam, gdzie w kwestyach religijnych poruszano stosunek rządu pruskiego do polskiej ludności, tam wszędzie bankrutujący lojalizm mówił do narodu: We mnie zbawienie twoje! O ile wiec katolicki trącał w struny polityczne, o tyle stał się rozsadnikiem Kościelszczyzny, nową kolumną skompromitowanej dyplomacyi Koła polskiego. Tej sprawie poświęcimy w przyszłym numerze nowy artykuł.

POLITYKA.

Przegląd prasy słowiańskiej:

O stosunku stronnictwa młodoczeskiego do socyalizmu rozpisują się „Narodni Listy.“ Główny organ młodoczeski tak stosunek ten określa:

„Czeski robotnik odznacza się większą inteligencyą i większem wykształceniem, aniżeli robotnicy w innych krajach koronnych Austryi, co za tem powinno przemawiać, że ma on zmysł i zrozumienie dla pracy podjętej w celach patryotycznych. Ostatecznie można stwierdzić, że w czeskim robotniku, którego nie sprowadzili na bezdroża internacyonalizmu fałszywi prorocy (zwłaszcza żydzi, z których znany krzykacz i agitator Ingwer z Berna tem się odznacza, że narodowość czeską zbezczeszcza) znajduje się w gruncie rzeczy zdrowe poczucie narodowe, że robotnik czeski jest patryotyczniejszym aniżeli nasza szlachta i wysocy urzędnicy. Robotnicy nasi nie wstydzą się nigdzie, nawet w najbardziej zgermanizowanych okolicach mówić po czesku, nie tak jak nasza inteligencya, która spostrzegłszy Niemca z daleka mówi po niemiecku, aby go czeszczyzną nie urazić. Pod względem narodowej świadomości robotnik wyprzedza inne stany; patryotyzmu od robotnika czeskiego mogliby nauczyć się inni.

„Miejmy nadzieję, że świadomość narodowa przenikać będzie do najszerszych warstw narodu, że patryotyzm przejdzie na przewódzców socyalistycznych, którzy się wkrótce przekonać muszą, iż internacyonalizmem szkodzą sprawie socyalnej.

„Tak, robotnicy nasi nie mają jeszcze przewódzców, jakich trzeba! Robotnicy czescy rozpadają się na kilka partyj mniej lub więcej radykalnych. Z anarhistami, których kierunek jest bardziej objawem patologicznym, nic wspólnego stronnictwo młodoczeskie mieć nie może.

Innnym kierunkiem skrajnym wśród naszych robotników jest komunizm. Pozbył on się dziś znaczeń praktycznych i jest więcej ruchem akademickim.

Pozostają więc właściwi socyaliści, którzy między sobą dzielą się na partye mniej lub bardziej w poglądach swych skrajne. Co do polityki znaczenie pewne posiada tylko frakcya t. zw. socyalno-demokratyczna, ponieważ dąży ona do naprawy stosunków socyalnych drogą reform socyalno-politycznych.

„Atoli u nas w Austryi o stronnictwie tem mowy być nie może, ponieważ nie jest dotychczas zorganizowanem: do organizacyi brak mu podstaw, a z tej przyczyny nie jest w polityce czynnikiem poważniejszym, gdyż brak mu reprezentantów w parlamencie.

„U nas w Austryi stronnictwo to nosi nazwę stronnictwa robotniczego; znamy ruch robotniczy i jego objawy — o demokracyi socyalnej u nas nie słychać.

„Nie myślimy zapuszczać się w dalszy rozbiór tych pojęć; zaznaczamy tylko to, że politycznie zbliżamy się najwięcej do tej partyi robotniczej, która najbardziej zbliża się do naszego stanowiska narodowego, a nie możemy popierać tych stronnictw, które się skłaniają ku internacyonalizmowi.“

* * *

O stosunkach panujących obecnie wśród serbskiej ludności w Bośni rozpisują się białogrodzkie „M a l e N o v i n e“:

„Ruch narodowy i świadomość narodowa wśród ludu straciły w ostatnich latach wiele na sile i znaczeniu, odkąd powiodło się rządowi wpłynąć na zakon prawosławny OO. Franciszkanów, który w Bośni odegrał rolę historyczną. Bośniaccy Franciszkanie nie byli zakonnikami, których wzrok zwrócony tylko ku niebu, ale brali żywy udział we wszystkiem co ludu serbskiego tyczyło. Dziś wyżsi stopniem zakonnicy obawiają się otwarcie przyznać, iż są Serbami lub Chorwatami, ponieważ to panom „u góry“ nie podoba się, — nazywają się więc Bośniakami. Wychowanie dziatwy w duchu patryotycznym serbskim zostało z programu szkół ich już skreslowe. Franciszkanie bośniaccy żyją dziś więcej dla klasztorów i siebie. Wogóle duchowieństwo w pracy nad uświadomieniem ludu ustało. Jedyny wyjątek stanowi biskup Fra. Pascal Buconjić i podwładni mu duchowni.

„W gimnazyum trawnickiem — przez zakon Franciszkanów utrzymywanem — znajdują się nauczyciele, którzy uczniom mówią: „My Bośniacy, nasz język bośniacki“... według znanej maksymy austryackiej: d i v i d e e t i m p e r a. Z Bośniaków chce rząd usunąć przeświadczenie, iż są oni, porówno ze Serbami w królestwie, jednym serbskim narodem!

W ostatnim czasie rząd przedsięwziął liczne zmiany w obsadzie urzędów. Wszędzie usuwa on Serbów i Chorwatów, a miejsca obsadza Niemcami, którzy sprowadzają kolonistów z dalekich Niemiec.

Urzędnicy postępują sobie bezwzględnie z ludnością, która będąc przyzwyczajona do tyraństwa baszów tureckich pozwala się mięszać i rozkazywać sobie tam nawet, gdzie urzędnikom żadne prawo nie przysługuje. Tak n. p. wybudował pewien starosta miejscowy w spółce z innymi przedsiębiorcami cukrownię i nakazał z urzędu chłopom sadzić buraki. Tym, którzy kukurydzą pole obsiali, kazał kukurydzę zaorać. Kilku z upartych kazał uwięzić.“

* * *

Berneńska „M o r a w s k a O r l i c e“, organ główny stronnictwa staroczeskiego na Morawie pisze o zamierzonej reformie wyborczej w Austryi co następuje:

„Przyjrzyjmy się przyszłemu składowi naszego parlamentu w razie gdyby reformę, którą zamierza wprowadzać dzisiejsza koalicya, w życie wprowadzono.

Dotychczas zasiada w radzie państwa Niemców 191, Czechów 61 (między tymi 12 szlachty historycznej), 50 Polaków, 7 Rusinów, 15 Słowińców, 9 Chorwatów, 4 Rumunów, 7 Włochów i 1 Serb. Gdy doliczymy do tego reprezentantów robotników, którzy przeważnie będą narodowości niemieckiej, zyskają Niemcy w przyszłej radzie państwa głosów 210, Czesi 70, Polacy 63, Słowincy 17, Rumuni 9, Chorwaci 10 a Włosi 9. Niemców byłoby w takim razie trzy razy więcej aniżeli Czechów, chociaż w Austryi jest ich tylko 36,1 proc., gdy Czechów 23,3 procent.

Porównując stosunek narodowościowy posłów do ludności austryackiej, przedstawiałby się on jak następuje: 36,1 proct. Niemców mieć będzie 52 procent posłów; 23,3 prct. Czechów, — 17,5 prct. posłów; 15,8 prct. Polaków — 15.7 prct. posłów; 13,2 prct. Rusinów — 2,23 prct. posłów; 5 prct. Słowińców, — 4,25 prct. posłów itd.

Najwięcej pod względem narodowym skrzywdzeni zostaliby nową reformą Czesi i Rusini. Byłoby tak, że na jednego posła Niemca przypadałoby 40,280 mieszkańców na posła Czecha 78,880!...“ *K.*

---

2)

OLA HANSSON.

SENSITIVA AMOROSA.

Nowe problematy serca.

(Tłom. **Empa.**)

II.

Pewnego wieczoru, w Maju, odprowadziliśmy nowozaślubionych — naszego przyjaciela i młodą jego żonę — na parowiec, mający ich uwieść w podróż poślubną. On wyglądał jak człowiek, któremu wielkie szczęście dostało się w udziale, i który w niemem zdumieniu stoi wobec tych wszystkich, nieznanych cudów, i sam siebie w tym nowym świecie nie poznaje, na twarzy jego, w słowach i w całej istocie jaśniał spokój. A ona — ona była jak ciepły, słoneczny dzień wiosenny, w którym wszystko tchnie zbytkiem życia i przepysznej, wonnej pełni kwiatów. I gdy okręt wypłynął z portu zdawało się nam obu, którzy zostaliśmy na brzegu, że słońce zaszło za chmurę, i że tam daleko, na morzu, leży jakiś świat zaczarowany, pogrążony w głębokim śnie, a którego my nigdy nie ujrzymy, i uczucie wielkiej samotności ogarnęło nas nagle.

Trzy miesiące później, pewnego wieczoru księżycowego w Sierpniu — wrócili i na tem samem miejscu wysiedli na ląd; a my obaj poszliśmy na ich przyjęcie. Wtedy on wydał nam się, jak człowiek, pozbawiony spokoju, jak człowiek, który blizkim jest wyrzeczenia się wszystkiego; koło ust i w oczach miał wyraz taki, jak gdyby nieustannie rozmyślał nad rozwiązaniem jakiejś bolesnej zagadki, nie dającej mu chwili wytchnienia, a której ani się mógł pozbyć, ani jej rozwiązać.

Pojechali do domu, i minął rok, minęły dwa lata, a my nie słyszeliśmy o nich nic: ale pewnego pięknego dnia przyszedł długi list, adresowany do jednego z nas, a przeznaczony dla obu. List ten był następującej treści:

„Lata minęły od czasu, kiedyśmy się po raz ostatni widzieli, a ja na wasze uprzejme listy zaledwie kilkoma krótkiemi słowami odpowiadałem, ale o to nie powinniście się gniewać, bo mi nie było dobrze w ciągu tych ostatnich dwu lat. Czułem w krwi niepokój, który mnie niszczył i duszę moją uczynił tak wrażliwą, jak odkryty nerw; a gdy czasem chwytałem pióro, aby do was napisać, to natychmiast rzucałem je znowu, zrywałem się z krzesła, i mówiłem sobie, że nie mam o czem pisać.

A że czynię to teraz, pochodzi ztąd, że w tej chwili odczuwam boleśnie, iż siedzę tu jak człowiek, w około którego wszystko się rozsypuje w gruzy, i, że jestem samotnym i chorym.

Moja żona i ja nie jesteśmy szczęśliwi, ale pomimo, że to odczuwam, błogosławię jednak często godzinę, w której ją prosiłem, aby moją została — z nią bowiem razem zakosztowałam wszystkiego najlepszego, co życie dać może, chociaż tylko przez kilka krótkich tygodni — i myślę, że człowiek, który to wszystko posiadał — chociażby przez tak krótki czas nie ma prawa do narzekania — otrzymał bowiem to, co do otrzymania było możliwem — a to jest w gruncie rzeczy dosyć, aby zrównoważyło nędzę całego życia.

Ona zbliżyła się do mnie z oddaniem się, które kazało jej zapomnieć o wszystkiem, które nie znało żadnego rozumowania, i pochłaniało całą jej istotę, duszę i ciało; odgadywała moje najtajniejsze życzenia, zanim one dojrzały — już nawet wtenczas, gdy się słabo przebijały w ruchu, lub spojrzeniu, i przygotowywała dla mnie wszystko, jak dla dziecka. Odsłaniała mi swoją istotę bez zastrzeżeń, nie wiedząc nawet o tem; mogła siedzieć długo i tylko patrzeć na mnie, a żadne słowa nie były zdolne wyrazić jej myśli. — I tak ożeniłem się z nią, nie kochając jej właściwie więcej, niż byłbym mógł kochać wiele innych kobiet, które w życiu spotkałem. I ożeniłem się z nią tylko dla tego, że wzruszyła serce moje, że czułem dla niej litość, i że byłem przesycony stosunkami kawalerskiemi.

Pojmowałem dokładnie, jak chłodnemi były

SPRAWY EKONOMICZNE.

„3,765,702“.*)

Tę imponującą cyfrę ma w tytule najświeższe wydawnictwo towarzystwa „Szkoły ludowej w Galicyi.

Niestety — cyfra ta nie jest świadectwem jakiegoś dorobku narodowego — jest ona potwornie wyraźną ilustracyą nędzy umysłowej w jakiej grzęźnie ta w zasadzie najszczęśliwsza dziś cząstka Polski. Pan Michał Danielak oparty na sprawozdaniach Rady Szkolnej krajowej i na innych źródłach wiarogodnych, dał nam wreszcie krótki, lecz aż nadto treściwy obraz stosunków, o których tyle luźnych żalów i utyskiwań wypowiedziano u nas w całem piśmiennictwie. Tak jest: bez mała 4 miliony — to olbrzymia armia ludzi nie umiejących ani czytać, ani pisać, analfabetów. To główna potęga wrogich naszemu istnieniu sił — ich warownia niezdobyta w pośrodku naszego społeczeństwa. Ażeby zaś dokładniej uprzytomnić sobie całą grozę tej potworności społecznej — trzeba pamiętać, że ludność Galicyi z W. Ks. Krakowskiem wynosiła w r. 1890 np. — 5.451522 — analfaci zaś stanowią 74 proc. mężczyzn i 79 proc. kobiet!

W samej oto stolicy kraju — we Lwowie — na 127,943 mieszkańców — analfabetów przybyło w r. 90 aż 47,693 tj. 37.2 proc., i nawet po odtrąceniu dzieci do lat sześciu cyfra ta zmniejsza się tylko do 35,336. W Krakowie w tym samym czasie na 74.593 mieszkańców — analfabetów jest 21.997 t. j. 29,3 proc. „Są powiaty — powiada p. Danielak — gdzie w dzień jasny z latarnią trzeba szukać umiejącego czytać i pisać.“ Tak w pow. bohorodczańskim na 56.205 mieszkańców jest 56,121 analfabetów; w kossowskim na 77,767 m. — analfabetów 72.258; w tureckim na 62.578 — 60,034 . . .

Stosunki na Bukowinie przedstawiają się jeszcze gorzej — pominiemy je tutaj, bo dość cyfr samej Galicyi.

Dla czego jest tak? — Pan Danielak w odpowiedzi na to pytanie zagłębia się zbytnio w przyczyny historyczne, lecz dalej odpowiada cyframi: „Według wykazów Rady szkolnej krajowej szkół ludowych publicznych jest 4,047. Po odliczeniu tej cyfry od liczby gmin wynikałoby, że mamy 2,245 gmin, które szkół wcale nie mają. Sprawa jednak według rachunku p. D. przedstawia się jeszcze gorzej, ostatecznie bowiem szkół niema aż w 2,737 gminach. Z faktem pozostaje w zgodzie to mianowicie, że w latach ostatnich ilość nauczycieli (3,859 osób) zamiast powiększyć się zmniejszyła się o kilkanaście. Co prawda okoliczność tę łagodzi zwiększanie się personału nauczycielek (2,025) o 225. Gdy jednak bliżej się wejrzy w sprawę, gdy się wejdzie pod dach nauczyciela ludowego, pobierającego 25 złr. miesięcznie, gdy się przypomni taki okropny fakt głodowej śmierci nauczycielki w Gromkowie — wówczas z konieczności straci się wszelkie złudzenia.

Dochodząc wreszcie ostatniej w szeregu formalnych przyczyn tego stanu rzeczy, p. D. zestawia budżet oświaty galicyjskiej z czeskim budżetem, „gdy Czechy o tyle mniejsze i terytoryalnie i ludnościowo od Galicyi łożą rocznie na swe szkoły ludowe z funduszów li tylko krajowych 6,000,000 złr. — nasz sejm mógł preliminować na rok 1894 zaledwie 1,384,862 złr.“ Miliony analfabetów w kraju, tysiące gmin bez szkół, setki tysięcy dziatwy rosnącej bez nauki, i liczne wypadki t. z. recydywy ciemnoty, to obraz, który każdego musi przejąć do głębi. Jest to jednak jeszcze obraz niezupełny. Bo oto obok tych biernych milionów fatalnie a bezwiednie wrogich sprawie narodowej — występuje czynnik wrogi świadomie. Słynny „Schulverein“ pangermański, którego sztab główny rezyduje w Berlinie i działa stamtąd na całą ojczyznę niemiecką — nie omija i Galicyi: w Lipniku pod Białą utrzymuje Schulverein szkołę pięcioklasową — uczęszcza do niej przeszło 400 dzieci — wszystkie narodowości polskiej. Koło związku tego w Białej liczyło w 1893 roku 495 członków. — Obecnie bialskie koło Schulvereinu postanowiło starać się o drugą szkołę niemiecką w Dziedzicach, gdzie nie ma ani jednego Niemca. Po za tem opiekuńczy duch Schulvereinu powołuje do życia niemieckie ogródki froeblowskie, niemieckie czytelnie, niemieckich subwencyonowanych nauczycieli. „Słowianie rosną w siły — a to nasz wróg“ — wołają apostołowie z Berlina, głos ich pada na grunt wdzięczny, bo oto w tej samej Białej — Polacy przez długi czas nie mogli kupić gruntu na wystawienie „Domu Polskiego.“ Stało się to wreszcie obecnie za bajeczną cenę 17,000 złr.... Jeżeli wreszcie dodamy, że Schulvereiny mają tu dzielnych sprzymierzeńców w żydach*) — to już do obrazu niewiele co dodać wypadnie. Pan Danielak w gorącej przedmowie wykazuje konieczność energicznej samoobrony społeczeństwa, które wyprzedzić powinno działalność rządu na tym polu i stworzyć własną straż obywatelską wobec tej groźnej potęgi. W obecnej chwili — istnieją w Galicyi dwa towarzystwa mające na celu oświatę ludową — jedno zaś z nich, mianowicie „Szkoła ludowa“ zajmuje się głównie najważniejszą sprawą szkolnictwa. Pan D. kreśli pobieżnie historyę świetnej działalności czeskiej „Maticy“, która po 12 latach istnienia utrzymuje 1 wyższe gimnazyum o 11 oddziałach, 39 szkół ludowych o 93 oddziałach i 38 ochronek o 47 oddziałach - i do naśladowania tego przykładu zachęca polskie społeczeństwo. Następnie opowiada niedawne dzieje powstania i działalności polskiej „Szkoły ludowej,“ W ciągu dwu lat istnienia, Towarzystwo zebrało kapitału żelaznego blisko 25.000, nadto kilka tysięcy funduszu bieżącego. Z funduszu tego budują obecnie dwie szkoły w osadach mazurskich narażonych na wynarodowienie, nadto kilkunastu gminom udzielono zapomogi na budowę szkół nowych i udzielono nagród kilku gorliwym nauczycielom. Z ramienia Towarzystwa powstało dotąd 49 kół, do których należy 6.852 członków popierających rozmaicie jego działalność...

Ta szczupła garstka ludzi dobrej woli stanowi zatem armię, na ochotnika idącą przeciw potędze ciemnoty. Tu już nie trzeba zestawienia z imponującemi cyframi członków „Maticy“ — wszak i bez tego doznaje się pewnego przygnębienia. — W pracy p. Danielaka nie ma optymistycznej aureoli około tego, co już zrobiono — jest tylko wymowny głos, bijący do tych milionów, dla dobra których wystąpił. „U nas w Polsce — powiada autor — na brak ofiarności uskarżać się nie można, ale porównywać jej z czeską nie sposób. Tam płacą podatek narodowy wszyscy — u nas garść zawsze jedna i ta sama...“ Niestety, jest nieco prawdy w tej skardze! Na „Szkołę ludową“ — czytamy — pan Erazm Jerzmanowski ofiarował 10,000 złr. Znowu więc p. Erazm Jenzmanowski! A to, co ofiarował, prawie przeważyło sumę uzbieraną przez miejscowych pracowników.

Starałem się z możliwą ścisłością oddać treść i nastrój broszury p. Danielaka. Słów parę chciałbym dorzucić od siebie, nie mając na ra-

*) 3,765,702 analfabetów przez Michała Danielaka. Kraków. Nakł. Tow. „Szkoły ludowej“ 1894 r.

*) W ostatnich 20 latach 600,000 morgów ziemi t. j. $^1/_{13}$ część obszaru kraju przeszła w ręce żydowskie

---

moje uczucia i moje zmysły w porównaniu z jej miłością ale ona potrafiła w mojej czułości znaleść więcej, niż jej dać mogłem, i ja sam byłem szczęśliwy, ponieważ ona była szczęśliwą — byłem spokojny i tak pełen równowagi, jak nigdy — tak, jak nim można być podczas letniego poranku, ożywionego spiewem skowronka, błyszczącego świeżością rosy i wschodzącem słońcem.

Przez dwa miesiące jechaliśmy ciągle dalej na południe, a w około nas kwitła i jaśniała prawdziwie południowa wiosna. Jechaliśmy Renem, wypoczęliśmy nad zielonem, słonecznem jeziorem Genewskiem, przebiegliśmy św. Gotharda i południowe Alpy z ich szumiącymi wodospadami, które leżą na ścianach gór, jak białe zasłony — a potem coraz dalej na równinę lombardzką, ową nieprzejrzaną masę ogrodów, pomiędzy którymi leżą rozrzucone miasta, jak wille. W całym tym tłumie zmieniających się ciągle twarzy ludzkich i widoków natury, mieszkając w wagonie koleji żelaznej, na pokładzie parowców i przy tables d'hôtes w restauracyach — łączyliśmy się oboje wewnętrznie coraz to silniej; zdawało mi się, że wessałem jéj krew — że jestem dzieckiem w świątecznem usposobieniu, w jakimś radosnym spokoju, i coś dobrego zstąpiło w moje serce — byłem, jak kruchy pień, który wypuszcza zieloną gałązkę.

Pewnego pięknego poranku w końcu Czerwca, wysiedliśmy na ląd przy Bellagio; jest to małe miasteczko, wspinające się i wiszące na stromym kawale ziemi, objętym błękitnemi ramionami jeziora Como. Było nam tu tak dobrze, że postanowiliśmy pozostać dłużej; chodziliśmy po górach, albo jeździliśmy łódką na wybrzeżu, i tak dnie mijały, a my niewiedzieliśmy nawet, gdzie się czas podział. Po obiedzie siadywaliśmy zwykle na chwilę pod drzewem — nad jeziorem — wprost naprzeciwko hotelu: gorąco ciężko wisiało w powietrzu, to też chłód w zielonym półcieniu podwójnie był nam miły. Jednego dnia zastaliśmy nasze zwykłe miejsca zajęte przez parę nowoprzybyłych podróżnych, których już zauważyłem przy tables d'hôte. On wyglądał jak oficer angielski, a młoda kobieta była oczywiście jego córką. Miała ona jednę z tych kobiecych twarzy, które miękką okrągłością rysów przypominają delikatne kamee, i którym przeciwieństwo, pomiędzy wielkiemi, ciemnemi oczami, a matowo jasnemi bujnemi włosami nadaje wyraz wyszukanej wytworności duchowej — tak jak niezwykłe odcienie kolorów u zwyczajnego kwiatu. I obok tej twarzy o płci, jak mączne mięso białego, astrachańskiego jabłka, ujrzałem twarz mojej żony, okrągłą, kwitnącą i trywialną, jak twarz dziecka i widziałem, jak każda z tych kobiet odczuwała urok roztaczającego się przed nami krajobrazu. Jedna z nich wytworna, pełna inteligencyi i uczucia, umiała zrozumieć czar tych ciemnych, szafirowych fal jeziora i białego, jak roztopione srebro, światła słońca, — czar wspaniałych will w ciemnej zieleni drzew i całego tego krajobrazu lekkiego i jasnego, jak sen poranny, kiedy słońce przedziera się przez zasłony u okien; ona umiała zrozumieć ten przepych natury, przejąć się nim, rozkoszować, jak starem, drogiem winem lub subtelną, rzadką wonią — podczas kiedy druga rzucała się nań, jak głodne dziecko, które je chciwie i niezaradnie.

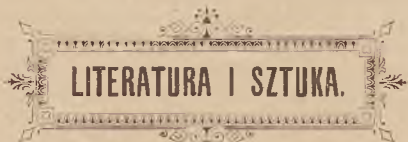
Było to wielkie rozczarowanie, które nademną zaciężyło i mię, pochłonęło, i zaraz potem zdawało mi się, że opadają ze mnie więzy i znowu odrastam sam z obcej jakiejś istoty, która mnie całego ogarniała. Czułem, że stałem się takim, jak dawniej, że odzyskałem siebie samego i że wszystko w około mnie wracało do pierwotnego spokoju; światło jakieś zagasło około mnie i we mnie, i było mi tak, jak kiedy w sali koncertowej, po skończeniu jakiego utworu, któremu się wszyscy przysłuchiwali w milczeniu i ciemności, znowu zapanuje światło i gwar.

Ale przedewszystkiem doznałem uczucia, jak gdyby coś, z czem byłem zrośnięty, odpadało odemnie, jak gdybym powstawał z objęć czysto fizycznych — i czułem się zawstydzonym, śmiesznym i pełnym obrzydzenia, jak po nocy spędzonej z obcą kobietą....

Podróżowaliśmy tu i tam, a ona stawała się coraz to więcej obcą dla mnie kobietą, którą

zie zamiaru szerokiego roztrząsania sprawy. Niezaprzeczenie dobrym pomysłem ze strony pana D. było wydanie tej książeczki przed samą wystawą: broszurka w kilkudziesięciu tysiącach odbitek, ma być rozdawaną w pawilonach wystawowych. Świadczy to raz jeszcze, że rozstajemy się coraz radykalniej z tradycyą okłamywania siebie samych, że na wypowiedzenie prawdy odważamy się nawet w chwilach popisu. Otóż prawdą jest, że Galicya w rzędzie krajów austryackich najuboższą jest niemal w oświatę, prawda, że walka z tem trudna. Nie należy jednak popadać w przesadę: owa cyfra tytułowa zmalałaby o jednę trzecią, gdyby szanowny autor potrącił dzieci nie mające lat 7 i gdyby wykreślił z rachunku całe pokolenie z przed 1867 r. Dalej obraz prac naszych byłby mniej smutny, a bardziej prawdziwy, gdyby autor uwzględnił i inne instytucye oświatowo-wydawnicze, działające w latach ostatnich. Należało w każdym razie położyć nacisk silniejszy na znaczne bądź co bądź stosunkowo postępy Galicyi w ostatniem trzydziestoleciu. Bo pocóż wrażenie prawdy osłabiać przesadą i n m i n u s, wobec tych zwłaszcza, którzy na wystawie może po raz pierwszy poznają stosunki Galicyi i winni odjechać nietylko z żalem do przeszłości, ale i otuchą wobec dzisiejszych i przyszłych zdobyczy.

Antoni Potocki.



O tem co boli.

W. Hugo w swoich „Nędznikach" opowiada o otchłaniach kału, jakie nagromadziły się w podziemnych kanałach Paryża. Poetycka wyobraźnia autora każe bohaterowi utworu, prostemu galernikowi — z sercem wznioślejszem, aniżeli u tych, którzy go osądzili, przebywać jednę z takich cuchnących, półgęstych toni. Noga pogrąża się coraz głębiej w uginającym się gruncie. siły, omotane lepką pajęczyną, grożą wypowiedzeniem posłuszeństwa... Obraz ów wciąż wypływa mi w pamięci, kiedy poczynam wpatrywać się w niektóre strony naszego tętna moralnego. Ale bohater „Nędzników" borykał się z hydrą bezgłową, w której paszczęce ugrzęzły jego nogi. i z przerażeniem spogląda na ową bezkształtną lepką masę, żądną nowego całopalenia w swoich odrażających wnętrznościach. My zachowujemy się zgoła inaczej: błoto lśni dla nas barwami piękna. „złowieszcza woń rozkładających się resztek." niby nektar upaja nasze zmysły. Nietylko stajemy się bagnem. lecz idziemy jeszcze dalej. bo lubujemy się w tem. że zamiast żywego prądu wiedzy i uczucia zalewa nas stojąca toń. oddychająca zgnilizną. Pamiętam jednego staruszka, który sparzony w życiu niejednokrotnie. zamknął się w swojej bibliotece. Przy każdem spotkaniu uważał za powinność oblewać mnie zimną wodą — nicował wszelkie wielkie hypotezy nauki, nawoływał do drobnych robót, do niskiego polotu myśli. Nie widzieliśmy się lat parę. Sądziłem, że dzisiaj będzie rad i wesół: w nauce zapanowała jałowość, u nas zaś blaga zgoła niskiego polotu i drobniuchnego czynu. Staruszek odrodził się — nie zdziwiłbym się, gdyby ukazała się w jakiemś piśmie namiętna filipika z jego strony przeciwko dzisiejszym reprezentantom naszej nauki i naszej myśli. Dzielna stara natura zaprotestowała...

Chyba nie ma lepszego zwierciadła dla ogólnego nastroju nad powieść. Możemy autorom odmówić talentu i nie znaleźć w ich utworach ani iskry wyższego zarzewia: wolno spierać się, czy wyprowadzone przez nich postacie istnieją w życiu realnem. Ale ani chwili nie godzi się powątpiewać o tem, że półcień, w jakim działają bohaterzy nawet najbardziej licho skleconego utworu, że wartkość potoku, z jaką toczy się fala życia w jego pisanej podobiznie, że wreszcie zamiary i idee, jakiemi żyją bohaterzy, lub karykatury bohaterów, że wszystko to znajduje się w zgodzie z tętnem otaczającego powiewu. Otóż u nas puls jej bije tak wolno, że trudno go się domacać. Coś niewymownie nikczemnego zatruło swem tchnieniem każdą stronicę pisanego życia. Od kilku miesięcy połykam swojską beletrystykę sporemi dozami — z ciekawości. Wziąłem do ręki utwór jednego z młodych autorów. Brr! co za woń! Nie dokończyłem i rzuciłem do kąta. Wziąłem inną, istną epopeję ślimakowych poglądów, krecich żądz i namiętności. Ani słowa — takie bagno w rzeczywistości istnieje, a beletrysta ma zupełne prawo wtłoczenia tych wzorów w wątek pisanego życia. Ale on nie poprzestał na tem i z każdej kartki przegląda twarz jego, śmiejąca się zachwytem, że życie jest takiem. Trzecia — przypomniała mi się jedna karykatura w jakimś świstku, a która winna namacalnie przedstawić czyjś ideał uroczej przyszłości. Stać się tuczną gromadą — takim jest ideał naszej trzeciej powieści. Z po za każdego wiersza wygląda też ideał ojca tego papierowego dziecka — rozkosz smakowania pokarmu, spokojne trawienie i troska, ażeby człowiek nie przejadł się i nie przepił. I piąta i dziesiąta mówią podobnym językiem: ta sama cisza namiętności, ten sam brak huraganów uczucia, te same wczasy trawienia, wylegiwania. Rzekłbyś, ogromne błoto moralne, w którem skrzeczą żaby. I rzecz dziwna! Im autor jest młodszy, im mniejszą przeszłość ma za sobą i więcej zżył się z dzisiejszą chwilą, tem ciemniejszemi barwami przepleconą jest kartka spisanego przezeń życia ludzkiego. Jedynie starzy ratują honor naszej powieści. Niegdyś napadali oni, jak ów staruszek, na zbyt daleko wybiegającą myśl, lecz teraz tęsknota ich ogarnia za tymi błędnymi ognikami. Nawet krzewiący się u nas mistycyzm jest poważnym objawem, świadczącym, że umysł nie spotykając odpowiednio silnego pokarmu w rzeczywistości, zwraca się więc do sfer transcedentalnych i w nich szuka posiłku. Jeżeli zaś czasem wybuchnie silniejsza namiętność, z pewnością bohater wyjdzie na rozbitka! W „Lalce" dzielny człowiek napróżno ogląda się za czemś, co zapełniłoby pustkę jego życia, aż wreszcie napotyka salonową laleczkę i rozbija swoją głowę o tę wątłą, znikczemniałą istność. W najnowszej swojej powieści Prus wyprowadza umierającego pozytywistę, który znajduje duchową ulgę w mistycyzmie. Te dwie postacie są jakby drogowskazami naszego moralnego rozwoju: mistycyzm, samobójstwo lub inny narkotyk oczekuje „wartogłowów", którzy nie godzą się z etyką trzody.

Ale powieść — powie ktoś, rzadko bywa tworem umysłów, przodujących i rwących się naprzód namiętności. Można posiadać wielki talent przedstawiania jakiejś sytuacyi życiowej i jednocześnie być skończonym filistrem. Tętno myśli w społeczeństwie należy oceniać miarą krytyki beletrystycznej, tego źródła niezadowolonych dyabląt. Krytyki beletrystycznej? Czy naprawdę istnieje ona jeszcze w naszym zaścianku? Kiedyś przed wielu laty wypowiedziano bój zacięty piewcom makolągw i słowików, szyderczą pogardą obrzucono karłów, sądzących, że poezya polega na wysławianiu gilów, skaczących z gałązki na gałązkę, lub na podziwianiu kropel rosy. A jednak, jak niewinne były owe gile i makolągwy w porównaniu z roztaczającą się kałużą, z której słychać krzek żab i plusk gadów! Należałoby się spodziewać, że krytycy dzisiejsi winni po szyję brodzić w krwi przelanej. Gdzie tam! Coraz mniej przypominają oni sępów, bujających wysoko ponad padołem życia i coraz głośniej wyśpiewują w sposób członkowany — członkowane zachwyty stada. Pamiętam czasy przed dzie-

---

niby tylko wybrałem jako towarzyszkę mej podróży, i za którą płaciłem bilety kolejowe i noclegi. Jej głośne wybuchy uniesienia nad wszystkiem, cośmy spotykali, brzmiały rażąco w mojem obecnem, wrażliwem usposobieniu, przeszkadzały mi, i znajdowałem je dziecinnymi; jej narzucanie mi się uważałem za niedelikatne i śmieszne, i obchodziłem się z nią, jak z tanim przedmiotem, który kupujemy dla tego, aby nie powiedzieć kupcowi: „nie"; stawałem się coraz to bardziej rozdrażnionym i złośliwym względem niej, i pomimo najlepszych w świecie chęci, nie mogłem jej dać więcej, jak pierwszej lepszej kobiecie spotkanej na ulicy. Długo naturalnie nie mogło tak trwać — ona musiała poznać, że byłem innym dla niej, niż dawniej. Z początku opierała się temu całą siłą swego niepodejrzliwego, prawego charakteru, i uważała wszystko za drobnostki i przypadkowe wybuchy złego humoru, których jej się nawet nie śniło brać na serjo. Później gdy spostrzegła, że mój chłód odpychał nieustannie wybuchy jej miłości i czułe zabiegi, że ranił ją śmiertelnie, i odrzucał jak szmatę bez wartości, mogłem zauważyć, że zaczynała się dziwić, i patrzeć na mnie przeciągłem, zdziwionem spojrzeniem dziecka — a to sprawiało memu choremu sumieniu niezmierny ból. A gdy potem nabrała pewności, że to rzecz ważna, i że dźwigam ją ze sobą tylko, jak zbyteczną torbę podróżną, zimno, machinalnie i niechętnie, jak się wykonuje ciężki i przykry obowiązek, wtenczas zamknęła się sama w sobie, i widziałem ją często zapatrzoną w dal — z zamyślonym i beznadziejnym wyrazem w spojrzeniu, jak gdyby myślała nad jakąś bolesną zagadką, której rozwiązania znaleść nie może.

W końcu — gdy wróciliśmy do naszego domu, tutaj na wieś, i gdy złośliwość moja i rozdrażnienie wybuchały coraz silniej i raniły ją dotkliwiej, niż zwykle, musiała myśl jej przebiedz w jednej sekundzie wszystkie doznane upokorzenia, i w wewnętrznem duchowem jej życiu nastąpił nagły i gwałtowny przewrot. Zdawało mi się, że cała jej silna natura zebrała się w tem dumnem, pogardliwem spojrzeniu, jakie na mnie zwróciła, i jakiem już odtąd na mnie patrzała, a ja uczuwałem je, jak ukłucie, okazując jej już to bolesne współczucie, to złośliwe zadowolenie z jej cierpienia.

Podczas naszej podróży było pożycie już przykrem: chociaż nie dało nam się to tak bardzo uczuć; nieustająca zmiana ludzi i przyrody była zawsze czemś nowem, co zajmowało nasze oczy i myśli: każde z nas mogło żyć w swym własnym świecie, nie będąc zmuszonem do ciągłego poufałego życia w cztery oczy — w którem jedno drugiemu musi z wszystkiego zdawać rachunek. Ale tu, gdy w samotności byliśmy wyłącznie skazani na wzajemne nasze towarzystwo, stało się takie życie nieznośnem. Na co by się zdały wszelkie wyjaśnienia? Ona by mnie jednak nie zrozumiała, ponieważ ja sam siebie nawet nie rozumiem, bo cóż mogę wiedzieć o zmianach, jakie we mnie zaszły, na czem one polegają i z czego wynikły; nie jest to pewnie niczem więcej, jak konieczną przemianą fizycznego tworzenia się naczyń i komórek, stanem wynikającym z przyczyn niewidzialnych i niczem nie dających się powstrzymać.

Ale widzę, że ona czegoś odemnie żąda, i to sprawia mi przykrość: szukam myślą chciwie jakiegoś punktu wyjścia i nie mogę żadnego znaleść; nasze przyszłe życie stoi przedemną, jak uśmiech zagadkowy, muszę zamykać oczy, aby go nie widzieć — a jednak go widzę!

Życie nasze wykoleiło się, i to z powodu nierozsądnej, błahej drobnostki. Nie mogę życia nienawidzieć i pogardzać niem, szyderstwo moje milknie i uśmiech zastyga na ustach: będąc tak w środkowym punkcie istnienia, czuję tylko strach szalony — zdaje mi się bowiem za każdym razem, że spotykam przerażające, zezowate spojrzenie szaleńca, za którym wszyscy mimowoli i na oślep iść musimy, jak lunatycy.

sięciu laty. W ciasnym pokoiku wrzasku było co niemiara, dymu od papierosów jeszcze więcej: niekiedy kilka butelek. Wszystko to jakoś godziło się z sobą mimo obecności nie tylko mężczyzn. Rozprawiano całymi wieczorami o estetyce. Ktoś może zatkałby sobie uszy na herezye, tam głoszone: nicowano wielkości, niekiedy zaprzeczano sztuce prawa bytu — a mówił to, pamiętam raz jeden ze łzami, w oczach taki estetyk, jak przedwcześnie zmarły Białobłocki (wymieniam jego nazwisko, gdyż Chmielowski zwrócił uwagę na jego krytyki w swoim Zarysie, nie wiedząc naturalnie o nazwisku autora), inni kazali jej być szerzycielką wielkiego piękna moralnego; kłócono się o czynniki, jakie bohaterów powieści stwarzały. Jak inaczej wyglądają dzisiejsze estetyczne wieczorynki: chociaż twarze młode, lecz serca stare. Wzorowy ład panuje — nie dla tego, że nauczono się cenić porządek, lecz ponieważ nieprzyzwoitością jest komuś przerywać. A może i ta okoliczność przyczynia się, że żadna myśl nie rozsadza czaszki... Meble inne, ruchy inne, herezyi i absurdów ani śladu, żywszych uderzeń serca nie pochwycisz. Krytyka stała się naturą kreciej: „Ten ustęp mi się podoba, jest tak piękny i rzewny“, „tamten jest pełen niesmaku...“ Niby grono staruszków, w wygodnych fotelach rozprawia o tym lub innym przysmaku gastronomicznym, lub chór ptasząt, które zebrały się pospołu, ażeby zbiorowo poszczebiotać.

Weźmy do ręki pierwszą lepszą ocenę jakiegoś utworu poetyckiego lub beletrystycznego: rozwlekłe streszczenie, parę słów nagany lub pochwały. Wszystkiemu można byłoby jeszcze przebaczyć, ale nie zachwytom i pobłażliwości. Owa kałuża stojącej wody, w jaką w powieści przekształcił się potok życia, rozczula sprawozdawcę: nie rażą go sympatye autora dla tych maluczkich żądz i drobnych zachcianek. Naumyślnie przerzuciłem pierwsze występy kilku młodych krytyków. Zwłaszcza jeden wprawił mnie w istotny podziw. Ujął pióro po raz pierwszy w życiu: mówił o jednym z Kalchasów powieściowego ślimactwa. Sądziłem, że na owego arcykapłana spadną straszliwe gromy, posiadające tę wadę, że są za wielkie na takie moralne mizeractwo. Bynajmniej! Krytyk, będący akurat w wieku, który w szlachetnej naiwności mniema, że na swoim tytanicznym grzbiecie z posad wyważy glob ziemski, poznał się, że ma przed sobą światek lilipuci, pełen istot płyciuchnych. Ale na tem ograniczył się cały haracz, złożony na ołtarzu młodości! Ocaliwszy swój honor owem oświadczeniem, niezadowolone djablę poczęło z takim zachwytem mówić o barwnych szatach szczerej poezyi w tym światku lilipucim, tak uniosło się nad mistrzostwem tych cacek, że nawet wyrażało się o wszystkiem w tonie zdrobniałym, słowem z djablęcia powstał również liliput.

Rozumiem umysły, dowodzące, że architektura katedry paryzkiej i budowa piramidy na torcie są dla nich jednako obojętnemi. Ale zaprawdę nie potrafię ocenić osób, które mogą pisać odę na cześć piękna piramidy...

Krytyka staje się tylko pisaną edycyą salonowego szczebiotu. Przyzwoite towarzystwo świegocze o wzniosłości i pospolitości. Poeta potrafi czuć — uznaje miłość — chce pogrążyć nas w zaczarowaną moc zadumy — czasami jest tęskny, w takim deptaku czczej frazeologii obraca się rozmowa. Wolno jej być wszystkiem: westchnieniem, pogardą, dreszczem, byleby tylko—naprzód—nie posiadała tytanicznych skrzydeł, powtóre zaś była wypowiedzianą w przyzwoitej i możliwie błyskotliwej formie. Tegoczesny krytyk przenosi ów szczebiot na łamy dziennika. Żądają od niego tylko jednej umiejętności, mianowicie, ażeby układnie haftował swoje drukowane ćwiczenia. Niechaj pokaże pozłotę na błocie, niechaj zgani ten lub ów drobiazg — nie więcej! Gdyby pogrzebani śpiewacy gilów zmartwychwstali, doznaliby bezwarunkowo sympatycznego przyjęcia. Osądzono by, że są kwieciem swojskiej łączki, że ta strofka lub parę pojedyńczych wyrazów brzmią bardzo ładnie, owa zaś grzeszy brakiem szerszego, n. p. społecznego uczucia, lecz nikt nie zakwestyonowałby prawa śpiewaków o makolągwie do istnienia. Słowem, życie, powieść z poezyą i krytyka niby trójka nieponiów nawzajem biją przed sobą czołem. Powieść nie jest powieścią o gnijącej kałuży (w tym razie nic a nic nie miałbym jej do zarzucenia), lecz zapanowaniem zgnilizny w poglądach autora na świat. Krytyka przestała być analizą życia, lecz przekształciła się na zbiór oklepanych, gładko brzmiących frazesów, oddających treść utworu. Jest ona dzisiaj nabożeństwem stylu i litanią krecich zachwytów, kiedy krytyk dojrzy piękno w piramidzie na torcie, lecz z obojętnością przejdzie przed gotycką świątynią...

K. R. Żywicki.

WILHELM ROSCHER.

W Lipsku zmarł nestor ekonomistów niemieckich Wilhelm Roscher. Nazwisko jego tak nierozłącznie związanem jest ze świetnym okresem, nauki gospodarczej w Niemczech, że śmierć ta mimowolnie wywołuje wspomnienie zapasów dwu kierunków w nauce, w których historyczny ostateczne otrzymał zwycięztwo. Roscher urodzony w 1817 roku, habilitował się jako docent na uniwersytecie w Getyndze w 1840 roku i już w cztery lata potem został rzeczywistym profesorem historyi i nauk państwowych w tymże uniwersytecie. Od 1848 roku wykładał w Lipskiej wszechnicy, gdzie czynnym był aż do ostatniej chwili życia i zawsze licznych miewał słuchaczów. Jakkolwiek więc zeszedł do grobu w 77-ym roku życia, wypełniwszy zadanie, które sobie był postawił pozostawiając szereg dzieł, który sam przez się utworzyć by mógł podręczną bibliotekę ekonomiczno-historyczną, do minionych lecz do czynnych na niwie naukowej należał działaczów.

Jeżeli można w ogóle mówić o charakterystycznych cechach umysłu narodowego, to u niemców dwa wybitne znamiona wyróżnić należy. Za jedno uważać trzeba ich gruntowność. Heine porównał kiedyś niezbyt pochlebnie umysł niemca do konia przywykłego chodzić zawsze po tym samym kawałku drogi, który jest mu znanym we wszystkich szczegółach, ale po za którym nic widzieć nie chce. Mozolne sumienne monograficzne badania, wychodzące z pracowni uczonych niemieckich, przeznaczone są przeważnie dla specyalistów, nie obejmują szerokich horyzontów, ale stanowią doskonałą szkołę dla umysłów, które uczą się samokrytyki i gruntowności, oraz wykrywają nam fakta i stosunki, o których w inny sposób nie dowiedzielibyśmy się nigdy. Metoda ścisła, stosowana jeszcze parę dziesiątków lat wstecz wyłącznie do nauk przyrodniczych, przez uczonych niemieckich zainaugurowaną została w dziedzinie nauk prawnych, historycznych, ekonomicznych i w ogóle społecznych. W dziedzinie gospodarczej pierwszym, co się ku niej zwrócił był Roscher. Pociągał go w tym kierunku nietylko przykład prawników, którzy pod kierunkiem Puchty i Savigny'ego zwrócili się do gruntownych historycznych i politycznych badań, ale i jego przygotowanie historyczne (Roscher był uczniem Rankego), a także wskazana wyżej właściwość niemieckiego umysłu, którego był typowym i dodatnim przedstawicielem. Druga cecha niemieckiego uczonego: systematyzowanie i budowanie całokształtu nauki, przejawiła się u Roschera w całej pełni: pozostawił on system ekonomii politycznej rozpoczęty jeszcze w 1854 roku, a ukończony dopiero w 1889 roku. System ten, którego każda część doczekała się licznych wydań i prze-

(6)

Nowocześni pogromcy narodu polskiego

i jego przeszłości w literaturze historycznej.

(Ciąg dalszy.)

Jakkolwiekbądź każdy to musi przyznać, że w całej jednowiekowej dobie istnienia państwa rosyjskiego, począwszy od traktatu andruszowskiego w r. 1667, na mocy którego Kijów nawet wzięty był przez Rosyę tylko na dwa lata w posiadanie, w najważniejszej może epoce rozwoju tego państwa, bo właśnie w dobie, na którą przypadło panowanie Piotra Wielkiego, stara owa i zasadnicza niby dążność anektowania ziem ruskich nie brana była wcale ze strony Rosyi w rachubę i nie stanowiła najmniejszego przedmiotu sporu z Polską, pomimo czynnego za panowania Piotra udziału Rosyi w domowych wewnętrznych sprawach Polski.

W epoce tej śladu nie ma jakichkolwiekbądź roszczeń Rosyi lub jej pretensyj do ziem ruskich Rzeczypospolitej. Czyżby owa zasadnicza idea poprzednich carów mogła być nieznaną ówczesnym sterownikom państwa rosyjskiego, lub jego społeczeństwa, jeżeli takowa istniała w samej rzeczy? Na koniec w samej dobie upadku Rzeczypospolitej aneksya ziem ruskich do Rosyi dokonywa się, jak stwierdza p. Kariejew, w takiej formie i w taki sposób, iż nie może być nawet myśli, o tem, aby to one były właśnie celem tej aneksyi!

I otóż mamy wyświetlenie zagadki w innym ustępie książkit p. Kariejewa. Stwierdza on*), że pisarze rosyjscy poczęli zapatrywać się na stosunki rusko-polskie z właściwego punktu widzenia bardzo niedawno, a mianowicie, jak objaśnia w przypisku, idea ta pierwszy raz wypowiedzianą została przez Ustriałowa w dziele jego „Ruskaja istorja. 1837—41.“ Odkrycie owej dążności zbierania ziem ruskich dokonanem zostało zaledwie kilkadziesiąt lat temu, a odkrywcą prawdy jest historyk, o którym p. Kariejew wie dobrze, jak dalece można ufać słowom jego i temu wszystkiemu, co napisał. W samej Rosyi dzieło jego nazywano parodyą historyi — wiadomo było całemu światu, że pisał wyłącznie w interesie rządu i samodierżawja i sam nawet nie wierzył w to, co pisał**). A jednak rzecz zaprawdę dziwna. Podczas gdy wszystkie prawie poglądy Ustriałowa, odnoszące się do wewnętrznych spraw Rosyi zostały w czasie późniejszym przez pisarzów rosyjskich do szczętu obalone, poglądy jego jednak na stosunki względem Polski utrzymują się w Rosyi do dziś dnia w swej

*) St. 372.

**) Niech nam wolno będzie przytoczyć w tem miejscu szczegół prawdziwy, który pomimo swej anegdotycznej formy, doskonale charakteryzuje wartość poglądów Ustriałowa. Szczegół ten znamy) z opowiadań słuchaczów Ustriałowa, byłych studentów Uniwersytetu Petersburskiego z epoki, w której wykładał (przed r. 1859) na tymże uniwersytecie historyę, wiarogodność zaś szczegółów mogą potwierdzić wszyscy żyjący dotąd jego uczniowie. Ustny wykład Ustriałowa niczem się zwykle nie różnił od jego książki. Była to sucha apologia wszystkich bez wyjątku carów i imperatorów Rosyi ze starannem pomijaniem wszystkiego, co mogło świadczyć niekorzystnie o ich działalności, w zwykłym zaś toku tego wykładu nie można się było dopatrzeć cienia nawet jakiejkolwiek krytyki dziejowej. Czasami jednak zdarzały się dla słuchaczów prawdziwe niespodzianki. Były to rzadkie zkądinąd chwile, w których profesor zjawiał się na katedrze w „różowem usposobieniu“. Wtedy słuchacze ze zdumieniem prawdziwem dowiadywali się od niego samego, iż wszystko to, co im mówił w zwykłych razach, było kłamstwem wierutnem, w wykładzie zaś następowało podówczas najsurowsze i najbardziej szydercze nicowanie historycznych działań sterowników Rosyi.

kładów na języki francuzki, polski*) włoski, angielski, rosyjski, i serbski obejmuje zasady teoryi (Die Grundlagen der National Oekonomie), ekonomikę rolnictwa, ekonomikę handlu i przemysłu i wreszcie naukę skarbowości. razem cztery wielkie tomy.

Oprócz systemu w dorobku naukowym Roschera na pierwszym planie postawić by należało historyę ekonomii narodowej w Niemczech. Dzieło to nazwać można olbrzymim kopcem usypanym mrówczą pracą z drobnych ziarn piasku. Niema tam szerokich poglądów i jednolitości obrazu, jak słusznie w swej krytyce zauważył Dühring, ale z ogromną sumiennością i pracą przedstawiony jest każdy z najmniej wybitnych nawet ekonomistów niemieckich, nie pominięte żadne dzieło, żaden nawet artykuł z tego zakresu. W pierwszej części, poświęconej angielskim klasykom na których wzorowała się z początku niemiecka nauka nie brak zajmujących i krytycznych poglądów; tam materyał gotowy nie przysłaniał ogólniejszych wniosków. Przy odtworzeniu działalności nauki niemieckiej Roscher dał raczej encyklopedyczny jej obraz, który dla każdego następcy cenną będzie pomocą.

Niewdzięczna rola karczownika przygotowującego grunta pod przyszły posiew przypadła mu i w innych dziedzinach. T. zw. dziś w niemieckich podręcznikach ekonomia praktyczna, której my nazwę opisowej dajemy, pod jego piórem poraz pierwszy przyjęła kształt spójnej całości. Ekonomika rolnictwa jest najlepiej opracowaną ze wszystkich części systemu i zarówno dla fachowca rolnika, jak i dla ekonomisty stanowi cenny obraz gospodarczej strony rolnictwa. Tom obejmujący handel i przemysł jest już wiele słabszym, choć nie brak w nim nadzwyczaj zajmujących szczegółów historycznych i faktycznych. Wprawdzie obie te części wymagają sumiennego przestudyowania, bo najciekawsze spostrzeżenia autor zamieścił w przypiskach, tekst zaś jest dość jałowy i brak mu jak wszędzie u naszego uczonego oryginalnych, świeżych i śmiałych poglądów i uogólnień. Na tej właściwości umysłu Roschera najgorzej wyszła jego ekonomia teoretyczna. O teoryi we właściwem znaczeniu tego wyrazu, a więc spójnej ścisłej całości, o konstrukcyi śmiałe stawiającej hypotezy, czy prawdy, które obejmowałyby całokształt zjawisk gospodarczych mówić tu właściwie nie można. Jest to podręcznik dogodny do przygotowania się do egzaminu, dający gotowe, często też treściwe, formułki, nie pozostawiające nigdzie wątpliwości, bo przecież definicye każdego faktu i stosunku zbudować zawsze można. To też najfanatyczniejsi wielbiciele Roschera tej jego książki nie traktowali nigdy inaczej, tylko jako użyteczne kompendyum, przeznaczone dla uczących się i ludzi praktycznych — Geschäftsmänner jak opiewa tytuł.

Czytelnik słusznie zapytać może, co stanowi zasługę Roschera i dla czego stawiamy go wysoko pomimo tej, że się tak wyrażę, organicznej jego nieudolności w zakresie teoryi? Oto przedewszystkiem olbrzymi materyał jego sumiennych historycznych badań, który spotykamy zarówno w dziełach już wymienionych, jak i w licznych pracach pomniejszych, oraz studyach nad gospodarką starożytnych. Dzięki tej pracy, sumienności, olbrzymiej historycznej pamięci i wiedzy, oraz dążności do systematyzowania wychował on całe pokolenie ekonomistów, oraz badaczów przeszłości gospodarczej, których prace wyróżniają się, podobnemi do jego własnych, ujemnemi i dodatniemi stronami. W nauce niemieckiej teorya, nie już zgodna z prawdą, (bo cóż jest właściwie prawdą bezwzględną na ruchomym terenie społecznych stosunków, ale wypowiedziana ze siłą, przekonaniem, śmiałością i ścisłością rozumowania należy do rzadkości, u badaczów szkoły historycznej nie spotykamy jej wcale, ale za to bardzo cenne badania faktyczne, bez których teorye zbudować trudno. A właśnie cały ten historyczny kierunek od Roschera bierze początek.

Już w 1843 roku pisze on o metodzie nauk państwowych (Grundriss zu Vorlesungen über die Statswirthschaft nach geschiechtlicher Methode), aż do 1878 roku metoda stanowi przedmiot ciągłych jego badań, w 1877 roku wyszło drugie powiększone wydanie dzieła: Ansichten der Volkswirthschatf aus dem geschichtlichen Standpunkte). Pod ekonomią narodową rozumie Roscher „naukę o prawach rozwoju gospodarczego życia ludow. Z jednej strony, tak jak wszystkie nauki o życiu ludów, uwzględnia ona życie pojedyńczego człowieka, z drugiej rozszerzając się, obejmuje badanie całej ludzkości“.

Ekonomia klasyczna, stawiająca prawidła ogólne wytwarzania, i podziału bogactw, niezależnie od czasu i miejsca znalazła w Roscherze stanowczego przeciwnika. „Każdy naród rozwija się odrębnie; żeby rozwój ten zrozumieć uwzględnić należy wszystkie strony jego życia, a mianowicie: język, religię, sztukę, naukę, prawo, państwo i gospodarkę. Trzy ostatnie ściślej od innych są ze sobą powiązane“. Te więc przed innemi ekonomista badać powinien, stosując ekonomię do właściwości swego narodu. Odnajdujemy tu zasadniczą myśl Fryderyka Lista, który odrębność tę dla celów praktycznej polityki uzasadnić się starał. Zresztą Roscher nie wypiera się tego pokrewieństwa poglądów własnych z poglądami Lista, któremu na początku swej naukowej karyery dłuższe poświęcił studyum.

Ale taka definicya ekonomii, to dopiero odległa meta, do której droga wskazaną być musi, a i wtedy wielkie pytanie, czy zamiast spójnej całości nie otrzymany szeregu oderwanych obrazów z różnych czasów i miejsc. Metoda, jaką tak pojętej nauce Roscher zaleca, jest „historyczną albo fizyologiczną“. Pragnie on tylko określić charakter ekonomiczny narodu, jego rozwój i potrzeby, a potem dopiero opisać instytucye jego i oddziaływanie tychże na życie. W tym celu Roscher przyjmuje metodę naturalistów: bada i rozpatruje fakta, od grup większych przejść się stara do coraz mniejszych, aby lepiej zbadać przedmiot. Cała masa współczesnych studyów gospodarczych i gospodarczo-historycznych powstała niezawodnie pod wpływem tego przekonania, że dzisiejszem zadaniem nauki jest poznawać fakta współczesnego i przeszłego życia, aby odtworzyć z nich cechy typowe, zasadnicze i stale się powtarzające. W tym kierunku Roscher oddziałał bardzo korzystnie, stwarzając niemal w ekonomii szkołę historyczną, której zasady wyłożyli potem Knies i Schmoller w obszernych studyach.

Studya nad życiem starożytnych doprowadzają Roschera do mniemania, że tam szukać należy obrazu całkowitego rozwoju ekonomicznego, bo dzieje starożytnego świata stanowią dziś już skończoną i zamkniętą całość. Nie przecząc, iż studya podobne są bardzo ciekawe ze stanowiska historyka, nie możemy się przecież zgodzić, aby dopomagały one istotnie do zrozumia gospodarczego życia teraźniejszości, od którego tak zasadniczo świat rzymski i grecki się różnił. Przeciwnie zaciera się różnica między dziedziną należącą do historyi i tą jaką nauki gospodarcze uprawiać powinny. Ta zaś musi przedewszystkiem uwzględniać i obejmować teraźniejszość, jej potrzeby, tendencye społeczne, walki klas i warstw jakie wytworzył współczesny system gospodarczy. To zwracanie się nieustanne do czasów przeszłych i w samym autorze utarło poczucie aktualności. Dla tego był on zawsze tylko akademickim uczonym, który w zapasach doby bieżącej opartych na gruncie gospodarczym widział tylko zakłócenie koniecznego i naturalnego rozwoju

*) Po polsku ukazały się: Nauka ekonomii rolnictwa przełożył F. J. Kupirzeński w rokr 1861. Nauka ekonomii handlu i przemysłu przeł. Jan Bauzemer roku 1889.

---

mocy, a o wszystkich historykach rosyjskich, rozpatrujących sprawy polski, można powiedzieć to jedynie, że żaden z nich swego samoistnego sądu nie stworzył, krocząc wyłącznie torem obmyślonym i wskazanym przez Ustriałowa.

Możnaż się tedy dziwić, że strona stosunków rusko-polskich, z tego punktu widzenia, jak mówi niejednokrotnie w swem dziele p. Kariejew, nieznaną była zupełnie ani historykom polskim, ani cudzoziemskim? „Ta strona sprawy dawnej, ignorowana zupełnie przez pisarzów polskich — powiada on*) — poczyna być przyjmowaną w rachubę przez współczesną historyografię polską w osobie profesora Bobrzyńskiego“. P. Bobrzyńskiemu jednak, odpowiemy na to, wiele rzeczy powiedzieć wolno, których nie mają prawa wypowiadać inni historycy pod groźbą przeczenia dziejowej prawdzie. Dla tego też niesłusznie się dziwi p. Kariejew**) profesorowi uniwersytetu dorpackiego Brücknerowi, że w dziele swem ogłoszonem niedawno w języku niemieckim p. tyt.: „Historya Katarzyny II“ pominął stronę sprawy „najbardziej zajmującą pisarzów rosyjskich“. Pomijaną ona będzie przez każdego nieuprzedzonego pisarza, gdyż jej po prostu nie było wcale, strona ta bowiem we wszystkich jej odcieniach poruszanych nieustannie przez pisarzów rosyjskich jest fantazyjnym wynikiem doktryny, wymyślonej przez Ustriałowa w interesach polityki rosyjskiej bieżącego wieku.

W rzeczywistości owa zasadnicza niby idea zbierania ziem ruskich w epoce dawniejszego państwa moskiewskiego okaże się sprawiedliwą tylko wtedy, jeżeli określimy ją słowami: zbierania ziem ruskich i nie ruskich. Śmiesznością byłoby twierdzić, że n. p. w dobie panowania Iwana IV zwanego Groźnym miano w Moskwie na oku wyłącznie jednoczenie ziem ruskich, gdy obok niszczenia i burzenia rzeczypospolitej Nowogrodzkiej, sięgano z jednej strony po bynajmniej nieruskie Inflanty, z drugiej zaś strony wcielano w skład państwa — tatarskie państwo Kazańskie i zajmowno ogromne obszary azyatyckiej Syberyi. Istotną ideą zasadniczą państwa carow był jedynie zabór ziem nie dla tego, że te lub owe z zabranych ziem były ruskiemi, lecz że dawały się zabrać. Wypowiadane niekiedy przy sposobności przez Carów pretensye do Polski o ziemie, które były niegdyś posiadłościami kniaziów ruskich, były tylko czczymi pretekstami, gdy chodziło o usprawiedliwienie napadów lub wojen, których celem była dążność zaboru obcych prowincyj bez względu na taką lub inną ludność w niej zamieszkałą. Zkądinąd przyjęty w owej epoce przez carów tytuł „Wsieja Rusi“ dowodzi nie czego innego, tylko tego właśnie, że w Moskwie ówczesnej poczytywano za Ruś to wszystko, co już zostało zkoncentrowanem pod władzę caratu. Wszelkie inne ziemie dawnej prastarej Rusi, uważane były w Moskwie za ziemie polskie.

Ponieważ jednak, zdaniem p. Kariejewa, jakeśmy to wskazali wyżej, istota stosunków rusko-polskich niezależnie od owej przyczyny zbierania ziem ruskich przez Rosyę mieści się jeszcze w dwóch innych przyczynach: prześladowania w Polsce wogóle dysydentów (w szczególe zaś rusinów grecko-wschodniego wyznania) oraz ucisku wogóle ludu wiejskiego (w szczególe zaś ludu rusińskiego), wypada nam przeto z konieczności napomknąć o tem, jaką mianowicie doniosłość mieć mogą oskarżenia, stawiane Polsce we względzie ucisku bądź religijnego, bądź socyalnego, w którym się znajdował szczep rusiński w jej posiadłościach.

P. Kariejew w wielu miejscach swego dzieła wzorem innych rosyjskich pisarzów, wspomina, bądź cytując ich zdania, bądź wypowiadając swe własne uwagi, o fanatyzmie katolicko-jezuickim, o prześladowaniu religijnem grecko-wschodniej religii, o zaprowadzeniu przemocą (?) unii i t p. Niejednemu czytelnikowi jego dzieła mogłoby się zdawać, że te rzekome prześladowania, których istoty żaden z pi-

*) Str. 374.
**) Str. 279.

historyi. Dla nauki jednak choć nie postawił teoryj niezbitych i szerokie rozświetlających horyzonty zrobił bardzo wiele, wprowadzając ją na drogę istotnie naukową. Ogólne zasady, głoszone przez ekonomistów ze szkoły klasycznej, sprawdzone zostały na ściśle zbadanych faktach gospodarczego rozwoju. Szkoła historyczna niestworzyła teoryi własnej, ale wykazała całą niedostateczność dawniej istniejących, a przy tem dostarcza materyału, na którym przyszła teorya oprzeć się będzie mogła. Zresztą ogólny kierunek i metoda pozostaną niezmienione, jakkolwiek dojdziemy do przekonania, że ważniejszemi dla nauki gospodarczej będą studya nad położeniem współczesnych nam klas społecznych, niż nad życiem Greków i Rzymian. Faktyczne badania Roschera zużytkować się dadzą i cenny stanowią materyał; wskazówki jego co do pojęcia nauki i jej metody wyborną stanowią szkołę do przyszłej pracy, możemy go też uznać — nie za genjalnego wprawdzie, ale za nader uczciwego i użytecznego badacza na niwie naukowej.

r Z Daszyńska

Szkoła i wychowanie.

E pur si muove.

(Odpowiedź „Gońcowi Wielkopolskiemu“ na jego „Pessymizm w „Przeglądzie Pozn.“)

I.

Gdy zdala od domu, bawiąc na obczyźnie, z pobieżnej notatki powziąłem wiadomość, iż artykuł mój w numerze 10 „Przeglądu Pozn.“ o zasadach i błędach w wychowaniu młodzieży męzkiej naszych klas wyższych, stał się przedmiotem polemiki ze strony „Gońca Wielkopolskiego, mimowolnym niepokojem zadrgało me serce. Byłem bowiem niemal pewny, iż „Goniec Wielkopolski“, folgując przyrodzonej werwie, obsypał mnie gradem inwektyw i osobistych zaczepek, na które człowiekowi, szanującemu siebie, odpowiedź trudna — często niemożliwa. Tem milszą przeto była też moja niespodzianka, gdy po przeczytaniu in extenso Gońcowego artykułu, przekonałem się, iż przeciwnik, kryjący się pod przybraną nazwą Bohdana Poraja, starał się być jak najwięcej przedmiotowym i domieszki gryzącego kwasu, osobistych zaczepek i przycinków, o ile to w polemicznych artykułach wogóle jest możliwem, bacznie się wystrzegał.

Ta na wskroś sympatyczna mi nuta obrony własnych przekonań w sercu mojem pełny znalazła oddźwięk i biorąc się niniejszem do odpowiedzi na wywody p. Poraja, chwytam za pióro z tem mocnem postanowieniem, aby i z mej strony, ściśle trzymając się rzeczy, nie dać się w niczem porwać uczuciu osobistych uraz i niechęci. Jeżeli jednakże polemika nasza ma przynieść jakikolwiek pożytek polskiemu społeczeństwu, — a tego pragniemy zarówno ja i jak p. Poraj — musi mi być wolno moje poglądy i przekonania z zupełną szczerością i otwartością przedłożyć sądowi opinii wykształconych sfer naszej czytającej publiczności, a ta niech już rozstrzyga, kto z nas ma racyę. Z tego też powodu upraszam redakcyę „Przeglądu Poznańskiego, aby moim uwagom w łamach swego pisma nie odmówiła gościnnego przyjęcia, choćby nawet nie zawsze podzielała moje zdania, a równocześnie zanoszę prośbę do p. Poraja, aby mi nie zechciał poczytać za złe, jeżeli mimo usiłowań zachowania jak najwięcej krwi zimnej z ust moich wyrwie się może nieraz wyraz cierpki i sąd ostry. Walczymy o zasady i przekonania, od których zastosowania w życiu zależy los i przyszłość naszego społeczeństwa i którym z tego powodu dać byśmy chcieli jak największe rozpowszechnienie. Chcąc zaś być zrozumianym przez ogół, wyrażać się trzeba jak najjaśniej i nieraz bez względu na uszka, wypieszczone na słodziutkich wzoreczkach salonowej stylistyki, użyć wyrazu, rzecz najdobitniej oznaczającego. Ale mimo zasadniczej różnicy stanowiska w tej walce, jaką toczymy, walczyć możemy, jak na honorowych przeciwników przystoi i dla tego, zanim zkrzyżujemy pióra, uchyliwszy kapelusza, wołam panu Porajowi:

Czołem!

A teraz najpierw słów kilka na temat pessymizmu.

Co to jest pessymizm i jakie są warunki jego bytu?

Pessymizm jest to oczywiście nastrój ducha, w którym umysł człowieka, zazwyczaj pod działaniem jakiegoś wewnętrznego lub zewnętrznego tłoku, wychodząc z równowagi, traci zdolność reagowania na cechy dodatnie otaczających go przedmiotów, a równocześnie wyrabia w sobie wielką, anormalnie wielką, wrażliwość na ich cechy ujemne. Rzecz naturalna, iż pod tymi warunkami przedmiot obserwacyi w umyśle pessymisty odbijać się musi w sposób dziwaczny, od normalnego sposobu patrzenia na rzeczy daleko odbiegający, bo w obrazie, utrwalającym się w camera obscura jego mózgu, barwy ciemne występują z niezwykłą wydatnością, podczas gdy barwy jasne w nim płowieją, przez co i obraz cały ciemny przybiera koloryt.

Jest zatem pessymizm w ścisłem słowa tego znaczeniu rodzajem zboczenia umysłowego, które w nieprawidłowości obserwacyjnego przyrządu, w anomaliach mózgowych, a często i w cielesnych niedomaganiach ma swoje źródło. Przedmiotem obserwacyi pessymisty może być cały świat umysłowy i materyalny, otaczający człowieka, zagadnienia najwyższe metafizyki i etyki zarówno, jak naukowe badania i życiowe problemy, i ztąd też odróżniamy pessymizm religijny, naukowy i polityczny. Dwa pierwsze rodzaje pesymizmu nas tu nie obchodzą, interesuje natomiast trzeci. Zwykł on się jawić jako nieodstępny towarzysz czasów, których bezdenna niedola gasi ostatni promyk nadziei nawet w umysłach najenergiczniejszych i wybitnem jego znamieniem bywa niechęć do życia, rozpacz i zwątpienie, odnoszące się zarówno do teraźniejszości jak do przyszłości a nawet przeszłości. Swoją drogą wydaje on nieraz herów swego rodzaju, jakim był np. Cato Uticeński, gdy nie chcąc przeżyć upadku rzeczypospolitej, brzuch sobie rozpłatał własną ręką, jakim był Seneca i wielu innych znakomitych mężów, którzy obrzydziwszy sobie świat i życie i uchodząc prześladowania podłych tyranów, z uśmiechem na ustach siedli do ciepłej wanny i żyły sobie podcięli.

Czy do tego rodzaju pessymistów liczy nas młodych, szeregujących się około „Przeglądu Poznańskiego“ p. Poraj?

Wątpię, aby mu się udało podciągnąć nas pod tę kategoryę. Gdzież bowiem u nas niechęć do życia, rozpacz i zwątpienie? Owszem, jest ochota, wiara w możność życia i na dzieja lepszej doli naszego społeczeństwa w przyszłości.

Jacyż my więc pessymiści?

Aha, rozumiem!

Jest drugi rodzaj ludzi w społeczeństwach żyjących i rwących się do życia, których współcześni czcić zwykli tem mianem. Ludzie ci, obdarzeni umysłem normalnym i niejakim zmysłem spostrzegawczym, a do tego przejęci gorącą miłością ku swym spółbraciom, i chęcią służenia ich sprawie, w czasach walk o nowe kierunki i zasady wyłamują się z pod władzy panujących pojęć i szukając dróg nowych dla swego społeczeństwa, nie wahają się powiedzieć mu niekiedy szereg prawd gorzkich. Takim pessymistą, jeśli ludzie tego rodzaju zasłu, gują na tę nazwę, był w Atenach Demostenes

---

sarzów rosyjskich krytycznie nie zbadał, nosiły na sobie charakter podobny do prześladowań religijnych, których ofiarą padały inne kraje w rozmaitych dobach swych dziejów, i że Polska była siedliskiem ducha najbardziej fanatycznego i nietolerancyjnego. Pozwolimy sobie zrobić w tej mierze kilka uwag.

W Hiszpanii, według Llorentego*) pomiędzy rokiem 1481 a 1808, spalono żywcem za przekonania religijne 31.912 ludzi, in effigie 17,659, na rozmaite zaś pokuty mniej lub więcej ciężkie skazano osób 291,456. — Z pozostałą po wypędzeniu Maurów resztką maurytańskiej ludności postąpiono w ten sposób, iż rozsiedlono ją po różnych miejscowościach w głębi kraju, zakazano im wyznawać własną religię, wzbroniono śpiewów i tańców narodowych, kąpieli, świąt i obrzędów po przodkach odziedziczonych. Zakazywano im mówić i pisać po arabsku pod karą 30-dniowego więzienia w kajdanach za pierwsze przewinienie, podwójnie długiego za raz drugi, a za trzecim razem pod karą stu batogów i czteroletniego osadzenia na galerach**) — We Francyi, pomijając już okropności, jakie się działy dawniej z Albingensami, tępiono Hugonotów z inicyatywy dworu, a w strasznej rzezi St. Bartłomieja, wymordowano ich za jednym zamachem około 5000. W sto lat potem nastały okropne dragonnady i pamiętne odwołanie edyktu nantejskiego, na skutek czego, wyjęci z pod opieki prawa protestanci francuzcy zmuszeni byli kraj opuścić, ogólna liczba zaś emigrantów ówczesnych wynosiła przeszło 500,000 osób. W Niemczech, jak wiadomo z dziejów średniowiecznych, żydzi ulegali najstraszliwszym prześladowaniom, znęcano się nad nimi w najokropniejszy sposób, mordując, wybijając i topiąc w studniach. W Austryi po wojnie trzydziestoletniej wygnano z Czech wszystkich protestantów.

*) Llorente. Histoire critique de l'Inquisition d'Espagne. Paris 1815—17.
**) Prescott. Dzieje panowania Filipa II, króla Hiszpańskiego. Ks. V. Rozdz. VIII.

Anglia z katolicką Irlandyą obchodziła się w sposób przechodzący wszelką miarę pojęcia. Sam Kromwell wymordował około 500,000 Irlandczyków katolików, burząc do szczętu miasta i niszcząc ich kraj. Tym, co pozostali po owych rzeziach, odjęto wszystko prawie, co można im było odjąć: prawo własności, szkoły, wszelkiego rodzaju urzędowania, a w końcu nakazano wszystkim pod karą chodzić w niedzielę do kościoła protestanckiego.

W państwie moskiewskiem panowała od początku idea najsurowszej nietolerancyi religijnej. Wszystko, co się nie zgadzało z prawosławiem, było tępione w najokropniejszy sposób, a wyliczanie popełnionych okrucieństw nie mogłoby być dopełnionem pobieżnie. W niektórych razach, gdy szło o prowincye, przyłączone od Polski, chwytano się z azyatycką przebiegłością środków, któreby mogły w razie potrzeby, w razie reklamacyi ze strony Polski, usprawiedliwić tępienie katolicyzmu w owych stronach i okazać, że gwałt zadany mieszkańcom w sprawach religii nie jest gwałtem. O środkach tych poucza ciekawy pamiętnik Medekszy, wyprawionego przez Polskę w poselstwie do Moskwy w r. 1657.*) Opowiada on mianowicie, iż, za pobytu jego w Moskwie, pomimo czujnej straży, którą był otoczony, zdołało się do niego przedrzeć kilku Polaków z ziem świeżo podówczas zabranych przez Moskwę i objaśnić go jakimi środkami zmuszono ich do przyjęcia prawosławia.

*) Stefana Franciszka z Prószczu Medekszy księga pamiętnicza. Kraków 1875 (w Scriptores rerum polonicarum. Tomus III. Wyd. Akad. Umiej. Krak.)

(Ciąg dalszy nastąpi).

gdy w swych mowach bezwzględnie karcił płochość, rozpustę i swarliwość ateńczyków, takim Katon, gdy Rzymian nawoływał na drogę cnót dawnych, takim nasz Skarga, gdy Polakom za wygórowanie w nich samolubnych instynktów przepowiadał upadek kraju, takimi starotestamentowi prorocy, gdy ludowi izraelskiemu, ponurzonemu w zbytkach i rozpustach pogańskich, grozili pomstą Jehowy, takim Jan Chrzciciel, gdy wołał, że już siekiera przyłożona do korzenia, takim wreszcie sam Chrystus Pan, gdy plemieniu jaszczurczemu faryzeuszów za jego pychę i obłudę zapowiadał rychłą zagładę. Zadanie ich wielce jest niewdzięczne i rzadko też kiedy spółcześni mieli dla nich inny okrzyk jak: ukrzyżuj! ukrzyżuj! a nieraz późne dopiero wieki na ich samotnej mogile obok gałązki cierniowej składały listek wawrzynu. Ale zaiste, i oni nie pozostają bez swej zapłaty! Czyste sumienie i swiadomość spełnionego obowiązku, głos wewnętrzny, mówiący im, iż kiedyś z ich posiewu słodkie wyrosną owoce dla ich następców, jest im sowitym równoważnikiem za te gorycze, któremi ich zazwyczaj poi świat współczesny.

Ale może pessymizm tego rodzaju, — krytycyzmem ja go nazywam, — nie ma podstawy w naszych stosunkach?

Wątpię, aby i najskrajniejszy optymista śmiał stawić na seryo takie twierdzenie. Znajdujemy się bowiem w położeniu człowieka, który przez las gęsty z zamkniętemi oczyma idąc drogą przez innych wydeptaną, wychodzi naraz na puste pole. Noc się zbliża, chmury wokół zasłaniają widnokrąg, słychać zdala głuchy łomot gromu: spieszyć się trzeba, aby głowę skłonić spokojnie gdzie pod jaką bezpieczną strzechą, ale kędy pójść sam nie wie. Ha może tam za tem wzgórzem odkryje gdzie ślad jaki drogi lub ścieżki. Rzuca się rozpaczliwie naprzód, wskrobuje na wzgórza: nie, nie tędy droga! Wraca skąd wyszedł, staje, myśli, nasłuchuje bada; nasuwa mu się wreszcie myśl jakaś szczęśliwa — wędrowiec przed nocą staje szczęśliwie w bezpiecznem schronisku.

W tem położeniu znajduje się obecnie nasze społeczeństwo. Szliśmy z zamkniętemi oczyma drogą frazesów i komunałów, wydeptaną przez kilka pokoleń, w tem przekonaniu, że ona jedynie prowadzi do zbawienia, aż nas wytrzeźwił z naszego złudzenia fundusz stumilionowy i straszny pogrom moralny, jakiemu pod wpływem magicznego dźwięku złota uległa nasza klasa przodująca. Uderzyliśmy zatem w stronę wprost przeciwną i naraz jak w operze, gdzie za naciśnięciem elektrycznego guzika przez reżysera scena z pustego bezludnego stepu zmienia się w ogród rozkoszny, świat ujrzał niespodzianie nowe widowisko: z nieprzejednanych oppozycyonistów zmieniliśmy się niemal przez noc jedną w równie nieprzejednanych lojalistów i pod względem lojalności przelicytowaliśmy nawet wkrótce najlojalniejsze stronnictwa niemieckie. Ale i ta nowa droga okazała się niezadługo drogą bez wyjścia. Stoimy więc znowu na tym samym punkcie, z któregośmy wyszli, i znowu przed nami ściele się step pusty, w którym wzrok nasz nadarmo „gwiazd szuka, przewodniczek łodzi.“ Więc w tem położeniu, cóż nam pozostaje innego jak badać, szukać, porównywać, badać szlaki, jakimi chodziliśmy dotychczas, szukać dróg nowych, badać bezwzględnie, szukać niestrudzenie, a może wreszcie oko nasze na chmurnem niebie naszych nadziei odkryje jaką gwiazdkę, której blady promyk z tej mgły zwątpienia doprowadzi nas do Betlehem lepszej przyszłości.

„Dobrze“, powie p. Poraj, „lecz wy pessymiści naród odzieracie z ideałów, wy w żyły jego i krew jego sączycie zwątpienia jady.“

My, panie Poraju, nie wydzieramy narodowi jego ideałów, bo my sami nie wyrzekamy się nadziei, iż zaranek lepszej doli kiedyś mu zaświta. **My tylko spełniamy służbę grabarzy: my stare bogi, zjedzone rdzą czasu i na pośmiewisko ludzkie walające się u stóp swych ołtarzy, niesiemy do grobu, aby nam na ich miejsce naród w myśl potrzeb nowego czasu mógł podźwignąć nowe, potężniejsze bogi.** A co do onego jadu zwątpienia, to niechaj troska niepotrzebna panu Porajowi nie mąci spokoju. Jeżeli bowiem cośkolwiek, to chyba obawa pokutująca niekiedy w głębinach duszy naszej, iż głos nasz pozostanie głosem wołającego na puszczy, choćby daną nam była płomienność Jezajaszowej wymowy, zdolna napełnić serca nasze goryczą, zdolna popchnąć nas w objęcia onego rzeczywistego pessymizmu, od którego jedyna ucieczka w mogile. Zrozumie nas jeden i drugi, zrozumie kilkunastu lub kilkudziesięciu, a i to już będzie znacznym nabytkiem dla sprawy naszego narodu, ale ogół warstw wyższych, gnuśny i wygodę lubiący, może nie zastanowi się nawet nad treścią i tendencyą słów naszych.

A lud?

Lud żywiony od lat dziesiątków odpadkami frazesów, jakie mu rzucą kuchmistrze duchowej strawy naszej i z argusową czujnością strzeżony przed dostępem świeżej myśli, zbyt mało jest rozwinięty, aby nas mógł i chciał rozumieć. Będzie więc z drżeniem wewnętrznej trwogi, powtarzał wyraz „pessymista,“ rzucony mu na pastwę przez opiekunów, jak czasu swego powtarzał wyraz „liberał“ i dziś jeszcze powtarza wyraz „farmazon“ na oznaczenie czegoś, co, niepochwytne jego rozumowi, przez tę swoją nieokreśloność tem groźniej tylko przedstawia się jego wyobraźni.

O zaiste, pełne goryczy są słowa moje!

Romuald Łazęga.

(Ciąg dalszy nastąpi.)



KRONIKA KRAKOWSKA.

19 czerwca.

(Budowa szkół odłożona ad feliciora tempora. — Wylewy. — Wyścigi.)

Pisząc przed paru miesiącami o zerwaniu ze szkodą gminy m. Krakowa układów pomiędzy nią, a rządem co do budowy dwóch gmachów szkolnych, wyrażałem obawę, iż budowa ta w bieżącym roku prawdopodobnie nie zostanie rozpoczętą. Obawie mojej zaprzeczono ze „sfer najwiarogodniejszych“ (czytaj: ze sfer p. ministra Madejskiego) — co z radością przyjętem zostało w Krakowie, gdyż dzisiejsze gmachy gimnazyalne pod żadnym względem nie odpowiadają swojemu zadaniu, a niehygieniczne w całem tego słowa znaczeniu ich urządzenie, bardzo źle wpływa na zdrowie młodego pokolenia. Radość ta jednak trwała niedługo, gdyż dowiedziano się z telegramów, że do budżetu państwowego na rok bieżący wstawiono tylko odpowiednią kwotę na budowę szkoły realnej, a nie wstawiono kwoty na budowę gimnazyum. Zmniejszono więc radość do połowy, obiecując ją uzupełnić w roku przyszłym. Ponieważ miasto zakupiło już grunty pod budowę obu szkół, przeto rząd zaproponował mu odstąpienie ich za cenę kupna. Miasto się zgodziło, a reprezentanci Rady miejskiej udali się do Wiednia dla załatwienia tej sprawy z ministrem skarbu p. Plenerem i ministrem oświaty p. Madejskim. Obaj ministrowie wyraźnie oświadczyli, że zgodnie z pismem urzędowem, wystawionem do Rady, rząd zwróci miastu cenę kupna, wraz z należytością skarbową od przeniesienia własności. Wprawdzie miasto i tak traciło na tym interesie, bo układy, ciągnące się przez kilka lat z rządem, naraziły je na pewne wydatki, bo wreszcie pomiędzy zapłatą gruntów przez miasto, a odebraniem pieniędzy od rządu, upłynie czas dłuższy, a więc przepadnie pewien procent od kapitału. Ale niech już raz sprawa zakończoną będzie, niech się rozpocznie choć budowa szkoły realnej! Tymczasem najniespodziewaniej przychodzi przed paru tygodniami pismo od rządu, w którem tenże oświadcza, iż nie ma bynajmniej zamiaru pokrycia kosztów przeniesienia własności gruntów, — a przecież i na piśmie i ustnie obaj ministrowie należytość tę do ceny kupna zobowiązali się włączyć. Oburzenie w Radzie miejskiej było tak wielkie, że uznano za potrzebne zarządzić tajne posiedzenie, ażeby mieć zupełną swobodę dyskusyi. Nie dowiedzą się więc z dzienników panowie ministrowie, jak nazywano ich postępowanie, a dowiedzą się tylko tyle, iż Rada uchwaliła po dwugodzinnej dyskusyi otworzyć ponownie posiedzenie jawne i uchwalić na niem, iż na wymaganie rządu, wręcz przeciwne jego poprzednim oświadczeniom, w żaden sposób zgodzić się nie może. Idzie tu o kwotę 4000 złr., którą nie wiadomo z jakiej przyczyny, na jakiej logicznej podstawie, miałoby miasto złożyć w podarunku rządowi. Rzecz ta znowu zabagnia sprawę. W razie zerwania umowy rząd nie przystąpi w r. b. do budowy nawet tej jednej szkoły, bo nie będzie miał jej gdzie wybudować. Proszę więc teraz rozstrzygnąć, czy obawy moje były płonne, czy zaprzeczenie ich ze „sfer najwiarogodniejszych“ miało dostateczne uzasadnienie. Zaprzeczeniu temu zaprzeczył sam rząd w połowie przez wstawienie do budżetu kwoty na jedną tylko szkołę, a zaprzecza obecnie w całości, gdyż okazuje się, iż nie ma jej jeszcze na czem budować.

Jużto rządowi mamy zawsze sporo do zawdzięczenia, a właściwie Kołu polskiemu, które go popiera za wszystkie niezbadane dotychczas dobrodziejstwa, jakie wyrządza krajowi. W artykule moim o „Reformie ustawy prasowej w Austryi“ podniosłem, z jakiem lekceważeniem rząd i Koło polskie traktują sprawę regulacyi rzek galicyjskich. Uchwalać kilkadziesiąt milionów dla podniesienia wspaniałości Wiednia, to jest rzecz dla naszej delegacyi wysoce patryotyczna, ale nie bronić biednego kraju przed wylewami, to znowu rzecz wysoce polityczna. Dzięki temu, co parę lat słyszymy jęki biednej ludności, tracącej swoje mienie przez żywioł rozszalały — i dzięki temu, co parę lat majątek kraju zmniejsza się o kilka lub kilkanaście milionów. I dziś stoimy znowu wobec katastrofy. Z całej zachodniej Galicyi płyną wieści o wylewach, a i sam Kraków doświadczył wczoraj wylewu Wisły. Zalane zostały Błonia, ulica Wolska, Garncarska, Podgórze itd. Zapewne dopiero po kilku dniach będziemy wiedzieli w przybliżeniu, na jakie straty obecny wylew naraził Galicyę, ile znowu ona będzie winna wdzięczności swojej delegacyi i sprzyjającemu rządowi.

Ostatni wylew zasmuci może zresztą u nas nietylko ludzi biednych, którzy padli ofiarą, ale i nasze „sfery wyższe“. Woda dostała się i na tor wyścigowy i gotowa popsuć teren dla koni, które ku uciesze tych sfer wyższych przez cały tydzień, zacząwszy od 24 b. m. biegać po nim mają. Pojmiecie jaka rozpacz zagnieździłaby się w sercach tych sfer wyższych! Bo na nic u nas nie ma pieniędzy, każde kilkaset reńskich na cel szlachetny z trudem zebrać przychodzi, ale są zawsze fundusze na bezużyteczną zabawkę. Cześć i chwała p. Zygmuntowi Cieszkowskiemu (jakże boleją nad tem, że „drapnął“ z Krakowa), który chociaż sam jeździć na koniu nie umiał, dostarczył miastu naszemu tej rozrywki. Gdyby nie on, nie wiedzielibyśmy nawet, co to znaczy meeting start, steward, steplechase, record itd.

Teraz nietylko to wiemy, ale rozumiemy dobrze straszne skutki gdy „jockey z koniem zapóźno wejdzie w finish“; nie jest też już dla nas tajemnicą różnica istniejąca między ogierem rządowym, „uznanym“ ogierem prywatnym i „subwencyonowanym“ ogierem prywatnym. Nieszczęście jedyne, że przestał wychodzić „Sport“ redagowany przez p. Meńszewskiego, sekretarza wyścigów, który „drapnął“ jeszcze wcześniej niż p. Cieszkowski. Za to praktycznie, bez drukowanego przewodnika, zapoznajemy się z totalizatorem, a za naukę tę płacimy kilkanaście tysięcy obcym wydrwigroszom.

Nie na tem jednak koniec naszych wydatków na szlachetne cele wyścigowe. Główna nagroda tegoroczna wynosi 24.000 koron, dalsze wynoszą 12 tysięcy, 8 tysięcy itd. tejże samej monety, a cała suma nagród przechodzi 120 tysięcy koron. Gdyby te nagrody brały konie ga-

licyjskie, to pieniądze z jednej naszej kieszeni szłyby do drugiej, ale cóż, kiedy je zabierają co najmniej w trzech czwartych rozmaici magnaci austryaccy i węgierscy, jak ks. Auersperg, hr. Apponyi hr. Clam-Martinic itd. Dodajmy do tego koszta urządzenia i utrzymania toru, a dojdziemy do bardzo ładnej sumy, jaką wydaje nasza krew niebieska i półniebieska na to, aby widzieć jak o długość głowy prześcignął „Bałwan“ „Warjatkę“ lub „Haly-Laly“ „Schweinkerla“. Wtajemniczeni opowiadają jeszcze, jakoby po wyścigach na torze, nasze „królewięta“ odbywały drugi wyścig na zielonym stoliku w resursie, w którym również i to grubo są pobici przez książąt, hrabiów i sportsmenów z innych „krajów w Radzie państwa reprezentowanych.“ Właściwych więc kosztów zabawki obliczyć się nie da. Są tacy, co mówią o zyskach, jakie miastu przynoszą wyścigi, ale są to po prostu ludzie, którzy liczyć nie umieją. Obcych przybywa do Krakowa nie wielu, a część ich podejmuje gościnnie arystokracya. Zapewne, że parę tysięcy zarobią hotele i restauracye, ale czy to może iść w porównanie ze straconym groszem. *K. Bartoszewicz.*

KRONIKA BERLIŃSKA.

20 czerwca.

(Wystawa berlińska sztuk pięknych. — Wystawa włoska.)

Coraz to bardziej rozciąga Berlin swe sieci centralizacyjne na państwa ościenne. Krok po kroku zrzekają się państwa i państewka swej autonomii politycznej na rzecz jednej wielkiej ojczyzny od Alp do morza, jak daleko jeden sięga język. Książę żelazny umiejętnie sieć tę w dłoni swej jednoczył, zawsze gotów nacisnąć na guzik centralny i przypomnieć, gdzie aparat główny. — Korona cesarska coraz to silniejszym opromienia się blaskiem — a wierni paladyni, chcąc nie chcąc, cześć i pokłon oddawać jej muszą. — Miecz wojny i waga praw i ustawodawstwa w jednej po dziś dzień spoczywają dłoni — lecz pióro, pędzel i dłuto nie dadzą się zmonopolizować. Od lat kilku poczęto i nad tem pracować w biurze centralnem, obradowano może już nad umundurowaniem nowem zurzędnikowanych malarzy i przedstawicieli sztuk pięknych z orzełkiem na czapce — lecz napróżno. — Niechajby blask zjednoczonej potęgi państwowej rozproszył ostatnie cienie partykularyzmu politycznego — Ateny niemieckie, Monachium, nie dadzą sobie przenigdy wydrzeć w sztuce berła pierwszeństwa, jak nigdy nie uda się wolnego geniuszu — praw kodeksem przykuć do skały wiernopoddaństwa i stawić mu na zawadzie słupu pogranicznego. — Świat ducha i piękna nie tak jeszcze zmateryalizowany, by palił ofiarę złotemu cielcowi .... berlińskich bankierów.

Myśli takie nasuwały mi się mimowoli, zwiedzającemu berlińską wystawę sztuk pięknych i mimowoli porównać musiałem wystawę tę z dorocznemi monachijskiemi — a rezultatem tego było przekonanie, że sztuka w Berlinie zawsze pozostanie rośliną egzotyczną, chowaną i chuchaną, chronioną przed klimatem zabójczej apatyi i indyferentyzmu na wszystko, co piękne. W Monachium o tem od dawna już wiedzą, nadając jej, słusznie czy nie słusznie, miano „bankierskiej“. — Sądząc n. p. z karteczek przypiętych do obrazów sprzedanych i tychże jakości, zdanie to potwierdzić można i jedynie przypuszczać, że zakupione pieniędzmi giełdowemi i przeznaczone do sypialni lub jadalni możnowładców finansowych. Zda się, jakoby ludzie ci w pierwszym rzędzie patrzeli na ramę a potem na sujet, najczęściej z „salon des nus“. — Dziwić się zatem nie można, że szczupła garstka malarzy berlińskich wybić się nie może nad poziom codzienny, za co nie wypada może tak bardzo ich samych winić, jak w pierwszym rzędzie publiczność, z którą bądź co bądź rachować się muszą; znaną przecież rzeczą, że malarz tak mało farbami lub werniksem żyć może, jak dziennikarz bibułą i atramentem, poeta rosą ranną, róż wonią i słońca promieńmi. — Słusznie powiada Paulsen w swym „System der Ethik“, porównując nasz „fin de siècle“ z epoką upadającego cesarstwa rzymskiego, że „czcza i bezmyślna rafinerja artyzmu w sztuce powstaje, oddając usługi swe rozpanoszonej pysze parweniuszów.“ Bankier berliński rad, że wystawa jego nie mąci mu spokoju i myśli, wiecznie tabliczką mnożenia zajętej — reszta publiczności zaś również bierne zajmuje stanowisko.

Inaczej rzecz się ma w Monachium, gdzie dwa obozy otwarcie stanęły do walki naprzeciw sobie, secesyoniści i pałac szklanny. — Tu młodzi tytani, piętrzący skała na skałę u stóp Olympu — Tam Zeus gromowładny, ze strachem patrzący na groźne wysiłki olbrzymów. Całe Ateny nad Izarą grzmią odgłosem tej walki o „być albo nie być“ — i wszyscy z gorączkowem wytężeniem ścigają wynik zapasów tytanicznych.

Otwarcie wystaw monachijskich to święto wielkie, dzień uroczysty; świątynie piękna niezliczonymi powiewają chorągwiami barw międzynarodowych, rozwierają jak szeroko swe bramy i w pochodzie pontyfikalnym rejent, dwór cały i ministrowie z pompą wspaniałą inaugurują otwarcie. — A w Berlinie? — Biorąc do ręki gazetę lokalną, dowiadujemy się między innemi wiadomościami brukowemi, że wystawa dnia tego a tego została otwartą: wstęp 50 fenygów. — Wiadomość taka nie sprawia innego wrażenia, jak n. p. ogłoszenie otwarcia gdzie nowej destylacyi.

Wystawa tegoroczna berlińska ma coprawda przeważnie charakter lokalny, może być zatem, że dla tego zagranica i Monachium nie dopisały, lecz można to sobie i tem tłumaczyć, że malarze zamiejscowi, a zwłaszcza monachijscy pod pewnym względem uprzedzenie mają do Berlina, jeżeli zaś który z nich obraz swój tutaj wystawi to tylko jako — towar. Mimo to spotkałem kilku dawnych znajomych, mianowicie Stucka, przywódzcę tytanów monachijskich, najśmielszego ze śmiałych, dalej Uhdego na wskroś oryginalnego o silnym indywidualiźmie, Seitza, fanatycznego naśladowcę Böcklina, Rana, słodkiego naśladowcę Defreggera, malującego gładkolice tyrolki na pudełka od papierosów — Raueckera i kilku innych mniejszych półbogów. Wszystkie ich obrazy były zeszłego roku wystawione już w Monachium — nie znalazły nabywcy, więc wysłano je na targ berliński. Francya i Włochy bardzo słabo zastąpione. Hiszpanię reprezentują Benliure, Villegas i Alvarez, trzech mistrzów efektów draperyjnych i dekoracyjnych w malowaniu szat złotych, kap i ornatów. — Pomiędzy Szwedami celuje Normann, pejzażysta par excellence; morze jego zda się huczyć i szumieć, łamiąc pianę bałwanów u stóp fiordów, grających ciepłymi barwami krwawo zachodzącego lub wschodzącego słońca. Z angielskich wypada nadmienić sławnego portrecistę Herkomera i śmiałego symbolistę Cranera. Holandya dwóch tylko ma głośniejszych przedstawicieli, Apola i Courtensa, sławnego symbolistę barw, którego obrazy pod względem techniki za płaskorzeźbę uchodzić mogą, tak grubo farb szpachtlą na płótno nakłada.

Polscy malarze bardzo słabo zastąpieni, nadto tak rozproszeni i obrazy ich tak niekorzystnie umieszczone, że nie mało trudu miałem, nim je odszukałem. — Obraz najlepszego naszego portrecisty, Pochwalskiego, n. p. umieszczony na uboczu w jakiejś camera obscura — a Olgi Boznańskiej, którą w Monachium tego roku nie lada spotkał zaszczyt „hors concours“ — wcale nie mogłem znaleźć, dopiero za trzecim razem. Fałat, mistrz w malowaniu śniegu, niedźwiedzi i scen myśliwskich, wystawił cztery obrazy, Jastrzembska, Kochanowski i Rosen po jednemu. Rzeźba nadto ma dwóch tylko przedstawicieli, Marcinkowskiego i Zawiejskiego. — Przyczyną, że nie wystąpili liczniej jest zapewne wystawa lwowska i monachijskie. Żal mi się zrobiło, przyznam, że nie wystąpili gromadniej, — pędzel i dłuto polskie jak w Monachium tak też i w Berlinie słuszne uznanie wywalczyć sobie powinny. Poznań niestety skazany pod tym względem lewem okiem patrzeć na Warszawę a prawem na Kraków, miejmy jednakże nadzieję, że nas w przyszłości nie opuszczą, tylko zwartym szeregiem i ze znaczniejszemi pracami staną w zawody i sięgną po palmę w metropolii cesarstwa niemieckiego.

Pomiędzy wystawionemi 1770 obrazami i 260 rzeźbami najwięcej zatem jest niemieckich, a przeważnie berlińskich. Liczba to pokaźna i trudno dla tego wnikać w szczegóły. Rozumiejąc wrażenie ogólne, każdemu podpaść może, że owa Sturm- und Drangperiode supranaturalizmu jak w literaturze tak też i w sztuce ma się ku końcowi. Przyszli wreszcie do przekonania, że czysty potok górski mieniący się słońca blaskiem nie mniej wart płótna i farby, jak stęchła kałuża. Natomiast coraz więcej poczyna brać górę symbolizm, mistycyzm, impresionizm, plein air i spirytyzm. Co się tyczy ostatniego, podziwiałem fantazyę wybujałą i pytałem w duchu, zkąd malarze owi biorą modele do ciał astralnych, kąpiących się w mgławicach odonu. Śmieszną jest rzeczą stawiać szranki sztuce i z góry potępiać ten lub ów „izm“. Wszystkie one mają racyę bytu, dopókąd służą pięknu — a nie idą krętemi drogami w bezmyślnej pogoni za efektem, mieniącym się oryginalnością, która w rzeczy samej śmieszną się staje karykaturą. Tamtamem reklamy potrząsali co prawda i mistrze, jak Stuck i Uhde — ale reklama ich była rzetelną, bo zdumiewała wszystkich rafineryą i bezczelną śmiałością w zaraniu budzącego się geniuszu.

W ogólności Berlin stosunkowo zadowolony być może z wystawy tegorocznej i bodajby, pominąwszy cel jej uboczny wielkiego bazaru, przyczyniła się do podniesienia ducha i rozbudzenia go z apatycznego indyferentyzmu na wszystko co piękne. Niechajby nikt nie powiedział, że igrzyska wojenne i parady na Tempelhofie więcej mają siły atrakcyjnej niż przybytki Apolina i muz. — Dotychczas jednakże Berlin stoi wciąż jeszcze pod znakiem Marsa — i złotego cielca.

Może poginą lody nieczułe pod złudnym promieniem słońca włoskiego, jakie oświecać się zdaje pewną część Berlina przy dworcu zoologicznym. Spokojnie umierać mogą teraz Berlińczycy, jeżeli prawdą przysłowie włoskie „vedi Napoli e poi muori.“

Każdy, któremu stać na 50 fen. — zwiedzić może dumną Wenecyą i skróconą drogą, czyli idealnie przedłużonym „canale grande“ na smukłej gondoli płynąć do uroczego Neapolu. Sam Ben Akiba zdziwiłby się niemało, bo tego chyba jeszcze nie było, by przenoszono miasta i kraje całe o mil tyle, jak ową stajenkę z Betlehem do Loretto. Wprawdzie tutaj nie ma cudu w rzeczy samej — lecz nazwijmy to jak chcemy, w każdym razie wystawa „Italien in Berlin“ pozostanie tryumfem techniki, cudowną improwizacyą i zarazem szczytem przemysłowej spekulacyi. Powodzenie kolosalne, jakiem cieszyła się wystawa podobna czasu swego w Londynie, pokusiło kilku śmiałych przedsiębiorców, na czele których stoi znany Schippanowsky, właściciel międzynarodowego „Conzerthausu“, i dyrektor Wintergartenu, do stworzenia czegoś podobnego tutaj w Berlinie. Projekt śmiały przewyższył wszelkie oczekiwanie. Rzeczą naturalną, że trza było się trzymać w pewnych granicach i śmiałą kombinacyą na tle teatralnych kulisów dopomódz rzeczywistości, rozszerzając sztucznie perspektywę. Wszystkie te akcesorya teatralne działają jednakże tak frapująco a prawdziwie jak w najlepszem panorama.

Główny wchód tworzy brama tryumfalna Konstantyna Wielkiego, której monumentalna ciężkość architektury na pierwsze spojrzenie w niczem nie zdradza płótna i desek. To samo powiedzieć można o ruinach „Coloseum“ i świątyni „Concordia“ jako też o sławnych historycznych dwóch filarach nad portem weneckim, na których widnieje zdala na jednym lew św. Marka, na drugim „il peccatore“. — Pod względem architektonicznym wystawa zadawalniać musi każdego; nie pominięto nawet najmniejszych szczegółów, jak n. p. sąszenie publiczne dyskretnych części toaletowych w oknach wązkich weneckich zaułków, dla wier-

nego scharakteryzowania i skopiowania modelu. Kanał długości 250 metrów i szerokości dziesięciu roi się smukłemi gondolami, które zręczni gondolierzy z zadziwiającą zręcznością i szybkością po krętych, wodnych uliczkach poruszają. Lazzaroni, kobzarze, komedyanci uliczni, wróżki, czarnookie włoszki, sprzedające kwiaty i confetti — przedstawiają w roli statystów typy uliczne gorącej krwi południowej; wszystko wre i kipi życiem bez troski o jutro, zagłuszając na chwilę zblazowanie wielkomiejskie.

Wieczorem, kiedy lazur włoskiego nieba nad wystawą zawiśnie i niezliczone lampy elektryczne zaświecą, złudzenie jest całkowite, zapominamy, że zdala perspektywę adryatyku, placu św. Marka, zatoki neapolitańskiej i ogniem zionącego Wezewiuszu, tworzy tylko płótno, że domy i domeczki z drzewa — a woda w „canale grande“ najczystszą wodą Szprewy. — Niech tylko piseraro gdzieś zdala zanuci na kobzie — niech rzewnie zabrzmią struny mandoliny — a człek gotów na serjo myśleć, że to rzeczywistość. Nawet znudzony berliński gigerl, hołdujący stoickiej zasadzie „nil admirari“, rozpromienia się na widok tej złudnej fatamorgany, a kiedy krew swą rozgrzeje ognistym „chianti“, podanym przez jeszcze ognistszą włoszkę czarnobrewą, zda się przeinaczać w innego człowieka; jeżeli krew mu za bardzo zaszumi, niechaj opuści austeryę i pójdzie, gdzie sprzedają „bierra blanca berolina“, a zanurzywszy się w basenie perlującej białki niech w czkawce serdecznej pofolguje nadmiarowi wzruszenia.

Evviva Italia!

Alastor.

NA WYŁOMIE.

(Światła i cienie.)

Grała orkiestra ugodowa na wiecu katolickim. Słyszałem muzykę fletów, harf i cymbałów, a taką słodką, senną i pieściwą jak śpiew odalisek, które do snu nucą władzcy i panu swojemu. Piękna, czarująca pieśń zwyciężonych! Dzieci dumnego Kaukazu denerwującym brzękiem łańcucha nie rażą ucha zaborców, — sokoły w klatce zamknięte nie płoszą snu sułtańskiego trzepotem skrzydeł potężnych, — hurys niewolnicza drużyna tuli się do stóp padyszacha i szepce mu głosem namiętnym: „W blasku uśmiechów twoich, w splocie lubieżnej pieszczoty pamięć krzywd narodowych w nicość się rozpływa i protest milknie na ustach. O! królu królów bądź błogosławiony.“

Grała muzyka ugodowa na wiecu poznańskim grała może silniejszym akordem niż w starym Toruniu, ale wśród orkiestry słyszałem niekiedy jakiś dźwięk niesharmonizowany, jakiś ton nieposłuszny kapelmistrzów batucie. Wam, duchy samotne, które mimo komendy narodowego milczenia rzucały głośnym patryotyzmu protestem, wam wybujałego lojalizmu wrogowie, którzy po moczarach prusofilstwa za błędnym nie gonicie ognikiem, wam, enfants terribles wiecowych dyskusyi, — hołd składam i pokłon. A przedewszystkiem poczuwam się do obowiązku wymienić tu jedno nazwisko: Wolszleger. Tobie zacny kapłanie-patryoto zawdzięczamy najjaśniejsze chwile głośnej manifestacyi, bo na wiecu katolickim—polsko-katolickie były słowa twoje, a w minorowem potpourri ugodowców naszych energiczną skargą była twoja zwrotka. To odważne wyłamanie się z prądów wiecowych pragnąłbym złotemi literami w księdze pamiątkowej zapisać, a gdy życzenie moje spełnić się nie może, tu na tem miejscu, gdzie tyle razy ponure Veto wołałem, kreślę wyrazy: Cześć Wolszlegrowi!

Patryotyczna nuta zacnego kapłana jest poniekąd rozgrzeszeniem pewnych usterek, które uderzyć muszą w poglądach jego na kwestyą socyalną. Trudno w felietonie rozwijać głębszą naukową polemikę z teoryami wiecowej trybuny, to też wierny zasadzie: Glissez, n'appuyez pas! zwracam tylko lekkiem dotknięciem uwagę na charakterystyczny dziwoląg, który się stale w prasie naszej pojawia, a raził często w obradach i przemówieniach wiecowych. Anarchja i socyalizm — oto dwa wyrazy, które referenci jednem wymawiali tchnieniem.

Nie robię zarzutu naszym domoroslym socyalogom, że poglądy ich na ruch robotniczy odznaczały się nieznajomością najnowszych prądów, że o istocie i różnicach rozlicznych odcieni socyalizmu milczała mównica, że potępienie było zawsze sumaryczne bez dyagnozy pewnych zdrowych, chrześcijańskich pierwiastków tego ruchu, ale identyfikowanie lub łączenie węzłami ścisłego kuzynostwa anarchii i socyalizmu jest krzyczącym, wołającym o chłostę nonsensem. Znać tu niestety szkołę prasy poznańskiej, ktorej poglądy na poszczególne objawy społeczne należałoby istotnie publikować nieraz w rubryce humorystyki.

Redaktor poznański nie raczy sięgnąć do dzieł naukowych, aby istotę prądów europejskich rozpoznać, — nie! stary wilk redakcyjny liczy na łaskę Ducha świętego, a w najlepszym razie łowi z dzienników niemieckich jaki urwany frazes i smaruje artykuł o socyaliźmie lub anarchii ku zbudowaniu czytelników swoich.

I oto rodzą się na poznańskiej ziemi poważni politycy, którzy w każdym wyznawcy zasad socyalistycznych widzą Ravachola, a w każdym Ravacholu rodzonego braciszka Beblów i Lassallów. Pamiętam jednego z redaktorów poznańskich, który z profesorską powagą raczył mnie pouczać, że anarchja to nic innego jak radykalny socyalizm. Grono „poważnych“ mężów skupione koło „poważnego“ publicysty słuchało z „poważną“ miną „poważnego“ wykładu — i dziw się tu panie Sullo wiecowym dziwolągom. Cóż z tego, że anarchją od socyalizmu dzieli przepaść cała, że jeden kierunek jest wręcz negacyą drugiego, że oba do odmiennych zdążają celów, że wreszcie tu i tam inne premissy, inny fundament psychologiczny, inna idea, — niech tam sobie Europa takie subtelne różnice buduje; poznański dziennikarz kładzie znak równania.

W obec tego dziwić się nie można, że społeczeństwo, karmione bezustannie taką umysłową margaryną, karłowacieje z dnia na dzień i staje się nieraz przedmiotem urągań galicyjskiej i warszawskiej prasy. Istotnie tematów niemało nastręcza ku temu wiec katolicki. Wymienię tu znowu jedno tylko nazwisko: Czartoryski. Zmiłujcież się panowie nad opinją księstwa i nie powierzajcie w przyszłości resumé wiecowego w tak niefortunne ręce.

Książe jest znakomitym mówcą okolicznościowym i poetów polskich popularyzuje cytatami swojemi, ale król toastowiczów w roli mówcy polityczno-religijnego to — tu wykrzyknikiem zdanie dopowiadam! I gdyby jeszcze nasz książe raczył poprzestać na rzeczowem streszczeniu obcych przemówień, gdyby nam był oszczędził własnych poglądów, — ale on — mistrz słowa — pokusił się o oryginalność i świat fajerwerkiem niezwykłym zadziwił.

Otóż dowiedziała się ludzkość, że te dzienniki, które obelgi na posłów rzucają, to nie mniej, nie więcej, jak „zdrajcy ojczyzny“ (sic).

Dowiedziała się dalej ludzkość, że tylko ta prasa może być „uczciwą“, która „jest oparta na podstawie wiary katolickiej“. Biedna praso ewangielicka! nie ma wśród ciebie „uczciwych“ organów!

A na zakończenie tak mędrzec mówił: „Nazwy takie jak partya ludowa, ugodowa, dworska, antisemicka, to czcze nazwy... Są tylko dwie partye na świecie, to jest partya pracujących i partya próżnujących krzykaczy.(!) Do owej pierwszej partyi należą bezwątpienia członkowie obu kół naszych ciał prawodawczych.“ Tak mówił na wiecu katolickim książe Czartoryski, a Zagłoba mruczał w mogile: I ty Boże nie grzmisz?

Niechaj mi czytelnicy wybaczą, że oszczędzę sobie komentarzy przy tych wspaniałych próbkach wiecowej filozofii. Frazesów takich mógłbym całe tuziny czerpać z skarbnicy książęcej mądrości, która obrazę posłów polskich napiętnowała mianem „zdrady ojczyzny“, ale nie wahała się w twarz opozycyjnej prasy cisnąć garść obelg i fałszów. Mowa księcia Czartoryskiego to smutny objaw umysłowości naszej, ale smutniejszym jeszcze objawem jest burza oklasków, którą mówcy niesiono w ofierze za — arcydzieło bezsensu.

— „Książę mówił cudownie! — krzyknęła mi nad uchem jedna z pań znajomych.

„A który ustęp zachwycił Panią najwięcej? — spytałem cynicznie.

— „Ja nie wiem, Panie, ale głos księcia czaruje.

Oj! krytyko, krytyko poznańska!

Sullo.

Ks. Albin Dunajewski.

Przed 17 laty, kiedy rządził jeszcze dyecezyą krakowską narzucony jej administrator ks. Gałecki, był już od lat przeszło dziesięciu skromnym katechetą i spowiednikiem przy klasztorze PP. Wizytek ks. Albin Dunajewski. Nie nosił tytułu kanonika, ani prałata, na zajmowane przez siebie stanowisko przyszedł z Rudawy, wioski pod Krzeszowicami, gdzie był wikaryuszem biednego i małego kościółka. W samym Krakowie było przynajmniej ze stu kapłanów, zajmujących od niego wyższe stanowiska, ale wśród tego grona wyróżniał się nietylko postacią, ale i wewnętrzną wartością. Wysoki, z piękną i rozumną twarzą, z wysokiem czołem, z poza którego w tył spadały bujne, mlecznej białości włosy, pełen przytem powagi w ruchach, był ksiądz Albin idealnym na zewnątrz typem dostojnika Kościoła, chociaż dostojeństwa nie posiadał. I jako o człowieku i jako o kapłanie rozchodziły się o nim najpochlebniejsze wieści. Mówiono, że dużo nad sobą pracuje, że oddaje się zarówno nauce kościelnej jak i świeckiej, że wiele czyta i bada, aby umysł swój wzbogacić i ducha swego krzepić. Ci, co go bliżej znali, podnosili jego przymioty serca, charakteru i usposobienia: prawość, patryotyzm, uczynność, dobroć, gorącą wiarę, miłość dla spraw społecznych, łagodność i uprzejmość w obcowaniu z ludźmi.

To, co opowiadano o jego przeszłości, wzbudzało również szacunek, jednało mu powszechne uznanie. Nie kwiatami usłaną była jego droga życia; ciernie, po których stąpał wpłynęły głównie na ofiarowanie się jego służbie Bożej.

Urodzony w dniu 1 marca 1817 roku w Stanisławowie z ojca Szymona i Antoniny z Błażowskich, był najstarszym z trzech braci, z których średni żył niedługo, a najmłodszy Julian był jeszcze niedawno ministrem skarbu monarchii austryackiej.

Odbywszy nauki w szkołach niższych i w gimnazyum sądeckiem udał się młody Dunajewski do Lwowa na uniwersytet, gdzie poświęcił się studyom filozofii i prawa. Były to czasy bardzo gorące. Upadek powstania 1831 r. nie przygnębił ducha młodzieży, która wciąż myślała o walce orężnej i wyswobodzeniu. Rząd austryacki oddając się wówczas poszukiwaniom niebezpieczeństw, grożących całości państwa, wykrył między innemi stowarzyszenie młodzieży, do którego należał, i w którem pierwszorzędne zajmował stanowisko, Dunajewski. Aresztowano go wraz z innymi w r. 1841. Przez trzy lata trzymano go w więzieniu lwowskiem, a następnie wywieziono do Spielbergu, w której to fortecy znów przez cztery lata skuty w kajdany przebywał.

Uwolniony z więzienia, przybył do Krakowa i pracował początkowo jako urzędnik sądowy przy Trybunale, ale podejrzany o niewyleczenie się z patryotyzmu, mimo tak długo udzielanego mu lekarstwa, otrzymał uwolnienie od służby. Dano mu najprzód miejsce zarządcy drukarni „Czasu“, a później został sekretarzem prywatnym hr. Adama Potockiego w Krzeszowicach. Pragnął wejść w związki małżeńskie

z ukochaną przez siebie osobą, ale niezadługo stał ze łzami w oczach nad grobem narzeczonej.

Po ciężkich przejściach życiowych postanowił się oddać służbie ołtarza. Opuścił więc dom Potockich i poświęcił się studyom teologicznym naprzód w Rzymie a potem w Krakowie. Początkowo chciał zostać zakonnikiem, ale odwiódł go od tej myśli ks. Kajsiewicz, widząc w nim materyał na człowieka, zdolnego do sprawowania rządów. Przepowiedział mu, że niezadługo zostanie biskupem.

Wyświęcony na kapłana w Krakowie roku 1861, a 44 swego życia, został kaznodzieją i spowiednikiem przy kościele N. P. Maryi.

Prace naukowe, którym się oddawał i natchnione kazania, jakie wówczas wygłaszał, zwróciły na niego odrazu uwagę ogółu. Nastały wówczas w Królestwie czasy Wielopolskiego. Mianowany świeżo arcybiskupem warszawskim ks. Zygmunt Szczęsny Feliński powołał ks. Albina do Warszawy na rektora seminaryum duchownego. Nadeszły straszne chwile 1863 r. Pewnego dnia uprzedzono ks. Dunajewskiego, że odbędzie się u niego rewizya i radzono mu natychmiast opuścić Warszawę. Usłuchał tej rady i kto wie, czy nie zawdzięczał jej życia. W seminaryum wykryto tajną drukarnią i papiery rządu narodowego, przechowywane tam przez członka tegoż rządu, ks. Artura Wołyńskiego. Na niektórych pismach znajdował się podpis ks. Albina, położony zdaje się bez jego woli i wiedzy. To dla rządu rosyjskiego wystarczałoby, aby go poprowadzić na szubienicę. Szczęściem, że w chwili rewizyi już go nie zastano, ale przy wykonaniu wyroku śmierci na kilku członkach rządu narodowego, powieszono go in efigie jako zaocznie na śmierć skazanego.

Przedostawszy się szczęśliwie do Krakowa został naprzód wikaryuszem w Rudawie, a następnie, jak to już nadmieniłem, katechetą i spowiednikiem przy klasztorze PP. Wizytek w Krakowie.

W r. 1878 postanowił rząd austryacki powrócić pasterza osieroconemu przez lat 44 biskupstwu krakowskiemu, ostatni bowiem biskup krakowski, ks. Skórkowski, został wywieziony za miłość ojczyzny w r. 1834 do Opawy, a dyecezyą rządzili odtąd administratorowie.

Mówiono wtenczas o różnych kandydatach i mało kto się spodziewał, ażeby skromny spowiednik PP. Wizytek mógł być na takie dostojeństwo powołany. Ale ci, co mieli posłuch u góry, przypomnieli, gdzie należy, zasługi i cnoty bogobojnego kapłana i wkrótce ze skromnej celi przy klasztorze przeniósł się ks. Albin Dunajewski do pałacu biskupiego, aby jako pasterz przez Ojca św. wybrany, rządzić sławną w dziejach dyecezyą.

A stało się to w r. 1879, w ośmsetną rocznicę męczeństwa wielkiego patrona Polski, biskupa krakowskiego, św. Stanisława Szczepanowskiego. Nie tylko serca dyecezyan zabiły radością, ale cały naród polski powitał w nowym pasterzu następcę wielkich w Kościele i narodzie biskupów krakowskich.

Szczegółowe dzieje działalności ks. Duunajewskiego na krakowskiej stolicy biskupiej wymagają kompetentnego pióra, wypada jednak podnieść z nich kilka faktów doniosłego znaczenia. Czasy administracyi dyecezyą przez smutnej pamięci ks. Gałeckiego wprowadziły nieład, obniżyły nawet pod wielu względami powagę stanowiska kapłańskiego. Potrzeba było dużo siły woli i sporo odwagi, ażeby wyplenić chwasty, zanieczyszczające glebę dyecezyalną i zaprowadzić porządek bez względu na osoby, koterye i protekcye. Ks. Dunajewski tę siłę woli i odwagę okazał, podniósł powagę duchowieństwa na zewnątrz, a wewnątrz przywrócił normalne stosunki.

Drugą jego zasługą, powszechnie wiadomą, były skuteczne starania o rozszerzenie granic dyecezyi, zgodne choć w części z jej dawną tradycyą i znaczeniom. Uszczuplana ciągle, przez utworzenie wreszcie osobnej dyecezyi kieleckiej w Królestwie, dyecezya krakowska obejmowała zaledwie kilka powiatów — dziś obejmuje ich cztery razy więcej. Z rozszerzeniem dyecezyi przywrócono jej także choć w części dawny majestat, kiedy w styczniu 1889 roku ks. Dunajewskiemu i jego następcom nadano tytuł książęcy, którego używali pasterze krakowscy od Zbigniewa Oleśnickiego aż do rozbioru Polski, jako właściciele księstwa Siewierskiego.

Znane są także i cenione wszędzie zabiegi ks. Dunajewskiego o przywrócenie domom Bożym ich dawnej świetności. Katedra na Wawelu, ten wspaniały pomnik przeszłości Kościoła i narodu, budziła w nim największą troskę, bo widział ją z dnia na dzień prawie chylącą się do upadku. A więc z całym zapałem wziął się do jej ratowania. Sam zbierał składki, innych do zbierania ich zachęcał, kazał przygotowywać plany restauracyi i rekonstrukcyi. Dziwiono się, zwłaszcza odkąd został kardynałem, że nie odmawia nikomu udzielania ślubu, choć wiek i stanowisko do tego go upoważniały; ale mało kto wiedział, że za śluby przez siebie udzielane wyznaczał dość wysoką taksę, która natychmiast z kancelaryi biskupiej szła do funduszu restauracyi katedry. Dzięki jemu początek zrobiony, — jest już tylko kwestyą czasu i dobrej woli jego następców, aby ta skarbnica przeszłości, ten prawdziwy relikwiarz Kościoła i narodu, dawną swą świetną szatę odzyskał.

W r. 1860 osobny wysłaniec papieski wręczył ks. biskupowi krakowskiemu oznaki godności kardynalskiej. Od tej chwili częstszemi były jego wycieczki ad limina Apostolorum. Nie czas jeszcze po temu, aby odkrywać zasłonę z osobistego wpływu kardynała Dunajewskiego w Rzymie na sprawy naród nasz obchodzące. Był on w ostatnich latach jedynym prawie informatorem papieża o sprawach polskich, a kiedy wpływ Izwolskiego rozszerzał się w gronie kardynałów, ks. Dunajewski umiał na tę truciznę wynaleść skuteczne antidota. Leon XIII chętny dawał posłuch jego słowom, bo wysoce cenił jego osobę. Miałem sposobność widzieć go raz w Rzymie i przypatrzeć się osobiście jaki urok na otoczenie wywierał. W gronie kardynałów tak jaśniał powagą i pięknością swej postaci, iż miałem wrażenie jakoby to był dziekan tego grona najwyższych dostojników Kościoła. Nie zapomnę go i w tej chwili, kiedy przedstawiał swych dyecezyan i rodaków podczas audyencyi pielgrzymki polskiej Leonowi XIII — był to najpiękniejszy majestat, w połączeniu z niedającą się opisać słodyczą.

Ogół instynktownie szedł za swoim pasterzem, ale byli i tacy, co na niego sarkali. Ci z tajoną radością podchwytywali każde urojone „potknięcie się“ ks. Dunawskiego. W szowinistycznym zapale, oni, którzy całkiem bez niego i Kościoła obyć by się mogli, chcieli go widzieć, zawsze na czele wszelkich obchodów i uroczystość, zapominając, że roztropność nie zawsze iść pozwala za potrzebami serca. Ks. Dunajewski był spewnością zawsze tam, gdzie być powinien, jeżeli mu nie przeszkodziła choroba, lub obowiązki gdzieindziej go nie powoływały. Jeżeli czasem się usuwał, to z pewnością miał ku temu ważne powody, których lajek nie rozumiał, a raczej rozumieć nie chciał. Kiedy ostatni raz wyjechał do Rzymu podejrzywano go, że uczynił to, aby nie brać udziału w uroczystościach kościuszkowskich. Nie zaglądałem do wnętrza jego umysłu i serca, więc nie wiem, czy ten powód kierował jego wyjazdem. Ale to pewna, że sposób w jaki uroczystość przygotowywano, mógł wzbudzić jego obawy, a jeżeli one były, to okazały się słuszne, bo skandaliczny przebieg uroczystości, aż nadto je niestety uzasadnił. A nie zapominajmy, że i ks. biskup Hryniewiecki usunął się również, a wszak ten kapłan dla sprawy narodu poświęcił swą wolność i dostojeństwo...

Zarzucono mu również jakoby był mało przystępnym, dumnym, zbyt wysoko swą godność noszącym. Zarzut ten to fałsz wierutny dla każdego, kto pojmuje pewne konieczne wymagania etykiety, połączonej ze stanowiskiem biskupa i kardynała. Owszem, ks. Dunajowski umiał zawsze, gdzie uznał za potrzebne, schodzić z wyżyny swego dostojeństwa. Sam wiek byłby go tłomaczył, gdyby go wszędzie nie widziano, a jednak oprócz zajęć duchownych i biskupich, obok pracy nad podniesieniem zakonów i seminaryum, obok ciągłych objazdów dyecezyi, brał zawsze żywy udział w różnych zebraniach, poświęcał zakłady publiczne, choć się mógł kim innym wyręczyć, odwiedzał stowarzyszenia rzemieślnicze, dawał wolny przystęp do siebie każdemu, bez różnicy wieku i stanowiska. Nie skąpił nigdy pomocy i rady; dla zyskania funduszów i poparcia spraw i rzeczy szlachetnych, nie żałował osobistego trudu, kołacząc do drzwi możnych tego świata. Ze szczupłych swoich dochodów, stanowiących dziesiątą, a nawet dwudziestą część dochodów niektórych innych biskupów państwa austryackiego, umiał opędzić potrzeby własne i wydzielić z nich większą część na potrzeby Kościoła, na cele publiczne i dla biednych. Przez długi czas musiał ze skromnej pensyi wypłacać znaczną stosunkowo kwotę b. administratorowi ks. Gałeckiemu. A jednak kiedy mu proponowano objęcie archidyecezyi lwowskiej, przynoszącej 100 tysięcy złr. rocznie swemu pasterzowi, nie przyjął propozycyi, nie chcąc opuszczać ukochanej dyecezyi. Dzielił się i sercem swojem z prawdziwie ujmującą delikatnością. Przytoczę jeden fakt nadzwyczaj drobny, a jednak charakterystyczny.

Syn jednego z naszych historyków, zmarłego przed dwudziestu kilku laty w Warszawie, zamówił skromne nabożeństwo za duszę swego ojca i ogłosił o niem w dziennikach. Przyszedłszy o naznaczonej godzinie do kościoła, zdziwił się zobaczywszy wielkie przygotowania. Za chwilę wyszedł z zakrystyi ks. biskup i nabożeństwo żałobne sam odprawił. Dodać należy, że zmarłego historyka mało znał osobiście, a syna jego całkiem nie znał. Jestto powtarzam fakt drobny, ale z takich drobnych faktów jak z drobnych kamyczków układa się mozaika charakteru człowieka.

Nad grobem ks. Dunajewskiego znikną zapewne wszystkie drobne ku niemu uprzedzenia. Zapowiedzią tego jest już jednozgodność prasy, która bez względu na różnicę przekonań politycznych, oddaje hołd mu przynależny jako człowiekowi patryocie i księciu kościoła. Postać jego zyskiwać tylko będzie na oddaleniu, bo pomału wyjdą na jaw wszystkie te jego zasługi i zalety, które dziś są jeszcze albo mało znane, albo całkiem zakryte zasłoną chwilowej konieczności, albo wreszcie niedostatecznie ocenione. W perspektywie historycznej Dunajewski stanie godnie obok swoich wielkich poprzedników, obok Oleśnickich i Lipskich, Sołtyków i Woroniczów.

K. Bartoszewicz.

KRONIKA LITERACKA.

— Pamiętnik historyczny i wojskowy o wojnie polsko-rosyjskiej w r. 1831, napisany przez Ignacego Prądzyńskiego, generała-kwatermistrza byłych wojsk polskich. Kraków, nakładem Kazimierza Grendyszyńskiego, w 8-ce, stron 290. Cena 3,60 mr.

Pamiętnik ten jest pierwszorzędnem źródłem do wojskowej historyi roku 1831 — a rzuca też nie mało światła na ogólny rozwój wypadków. Napisany został w r. 1832 na żądanie cara Mikołaja, który powołał autora w tym celu do Petersburga i pozwolił korzystać z urzędowych materyałów. Rękopism Prądzyńskiego znajduje się w archiwum wojenno-uczonej komisyi Głównego sztabu, a wydany był w całości przez generała Puzyrewskiego w „Polsko-ruskiej wojnie 1831 r.“ Wydawca ogłosił go teraz w polskim przekładzie, nie objaśniając, w jakim języku oryginał był skreślony. Ponieważ z toku opowiadania wnioskować można, że Prądzyński wcale po rosyjsku nie rozumiał, prawdopodobnie więc memoryał spisany był w języku francuzkim.

Ta okoliczność, że memoryał pisany był na żądanie i na użytek cara, wpłynąć musiała na cały tok opowiadania, mimo tego przyznać należy, że wszędzie przemawia autor z godnością, bez zaparcia się swego polskiego charakteru. Nie wahał się też wypowiedzieć otwarcie, że wojna cała byłaby się mogła zakończyć zupełnem zwycięstwem Polaków, gdyby dowódzcy nie byli popełniali błędu za błędem. Żołnierz polski dokazywał cudów waleczności, prowadzący ich do walki oficerowie aż do generałów odznaczali się i odwagą i talentem, — ale główni dowódzcy — a mianowicie wódz naczelny Skrzynecki, tyle popełniali błędów, takiem odznaczali się niedołęstwem, że niweczyli owoce, osięgane przez dzielną armią, takową w końcu zdemoralizowali i w haniebny sposób całą kampanią zakończyli. Pa-

miętać należy, że w przeddzień szturmu Warszawy miała rewolucya jeszcze blisko 80,000 wyćwiczonego żołnierza i 151 armat.

Memoryał ten jest bardzo pouczający. „Autor — wedle fachowej opinii generała Puzyrewskiego — odznaczał się szerokiem i poważnem wykształceniem, umysłem twórczym, świetnością i śmiałością przewidujących, często genialnych kombinacyi strategicznych, w których był niewyczerpany.“ Wysokie stanowisko, jakie zajmował podczas rewolucyi, urząd generała kwatermistrza i jeżeli nie nominalnego, to rzeczywistego szefa sztabu Skrzyneckiego, który atoli zamiast iść za jego planami, starał się takowe raczej paraliżować, zaufanie, jakiem go Rząd Narodowy obdarzył, ofiarując mu naczelne dowództwo, którego nie przyjął, nie chcąc rozdmuchiwać zawiści swych kolegów, wreszcie rola, jaką odegrał podczas szturmu Warszawy i układów między Krukowieckim a Paszkiewiczem nadają jego pamiętnikowi doniosłe znaczenie pierwszorzędnego źródła. Prócz tego i to na zaletę książki powiedzieć można, że nie jest przeciężona balastem liczb i drobiazgowych opisów topograficznych i że wskutek tego czyta się z przyjemnością i utrzymuje do końca uwagę czytającego w naprężeniu. Z. C.

* * *

— Włodzimierz Zagórski (Chochlik) Nowelle, serya I i II. Kraków, nakładem Spółki wydawniczej, 1894, str. 159 i 161.

Zagórski bezwarunkowo lepszym jest nowelistą, niż powieściopisarzem. Ostatnie jego powieści, jakie czytaliśmy, wydały nam się nudne, sztucznie robione. W nowelach natomiast jest zawszo wytwornym w opowiadaniu, a często umie zająć i treścią i formą oryginalną. Jeżeli czytając jego powieści, żałujemy, że są długie, to czytając jego nowelle żałujemy, że są za krótkie. Taka n. p. „Wilga“, zaledwie prześlicznie się rozpoczęła, już się skończyła w chwili, kiedy czytelnik najwięcej jest ciekawy, co się dalej stanie z miłością podlotka, który rozromansował szpakowatego już nieco niby-wujaszka. Bardzo ładnem i serdecznem jest opowiadanie „Jak w bajce“. Młodym żonkosiom radzimy przeczytać i wziąć do serca sens moralny nowelli „Homo novus“. Również moralizującem jest studyum psychologiczne „We śnie i na jawie“. Nastrój humorystyczny, ale zbyt ciężko humorystyczny, ma „Przygoda na dworze Radziwiłła „Panie kochanku“. Za to wiele humoru, a jeszcze więcej prawdy w swej nieprawdziwości posiada „Wenus w podróży“, rzecz wybornie pomyślana, będąca pyszną satyrą na uczone systematy filozofii piękna. Aforyzmy postawione przez Wenus, na której piękności nikt się nie poznał, bardzo logicznie i rozumnie ośmieszają pseudo-estetyków i krytykę szkolarską. Wszystkie wyliczone utwory znajdują się w seryi pierwszej. Druga jest znacznie słabsza — często tylko forma ratuje treść bezbarwną. Mniej też widzimy w niej obserwacyi, a więcej fantazyi i sentymentu. K. Bart.

* * *

— Nr. 11 „Słowa Polskiego“ zawiera: Z parlamentu niemieckiego, III. — Przegląd polityczny. — Sprawy polskie: I. Szkice z wystawy krajowej. Wrażenia ogólne. — II. Polacy a Czesi głos z zaboru rosyjskiego)- p. X.Y. — Nauka: Spirytyzm, III (ciąg dalszy) nap. Wł. Kozłowski. — Powieść: Wędrówka do ideałów (bajka wschodnia) nap. R. Skrzycki. Przedostatnie posługi (szkic od ręki) nap. K-n. — Przegląd literacki: Kaz. Gliński. Poezye, nap. Zdzisław. — Echa polskie. — Korespondencye: z Warszawy, (X. Y.) — Braterska prośba (z Budyszyna). — Rozmaitości. — Bibliografia. — Grafologia. — Ogłoszenia.

KRONIKA POWSZECHNA.

— Od znanego publicysty, p. Wojciecha Szukiewicza odbieramy z prośbą o umieszczenie pismo następujące:

„Wzywam niniejszem p. Franciszka Dobrowolskiego, redaktora „Dziennika Poznańskiego“ o zwrot najpóźniej do dnia 1 lipca zabranego rękopisu drugiej części pracy p. t. „Ze słowiańskiego Okoli“, którego mimo kilkakrotnych nalegań ani drukować, ani też oddać nie chce. Po bezskutecznym upływie tego terminu upomnę się o swą krzywdę na drodze sądowej.

Wojciech Szukiewicz.
Zakopane.

— Przed kilku dniami rozeszła się wiadomość, iż słynny hr. Paweł Hoensbroch, który wywołał sensacyę, zdradzając tajemnice polityki Jezuitów, miał się obecnie zaręczyć z żydówką milionerką. Doniósł o tem frankfurcki „Volksblatt.“ Hoensbroch zamieścił w „Frankf. Ztg.“ list, w którym oświadcza, iż wiadomość, podana przez wspomniane pismo, jest zupełnem kłamstwem i że pismu owemu wytoczył proces.

— P. Rozalia Pawłowska, doktorka medycyny, laureatka uniwersytetu paryskiego, zamianowaną została ordynatorką szpitala francuskiego w Buenos Ayres.

— O gościnnych występach artystki naszej panny Wróblewskiej na krakowskiej scenie pisze „Świat“:

„Występy p. Wróblewskiej, artystki dramatycznej teatru poznańskiego zapoznały nas z aktorką posiadającą niezaprzeczone zdolności, których jednak dotąd nie zdołała zużytkować i rozwinąć należycie z powodu braku właściwego kierunku“.

— Równocześnie niemal ukazały się w handlach księgarskich w Niemczech i Czechach dwa przekłady znanej powieści Michała Bałuckiego „Burmistrz z Pipidówki“. Pierwszy w przekładzie niemieckim „Dra Henryka Ruhe“ wyszedł nakładem Henryka Minden w Dreźnie p. t. „Der Bürgermeister von Pipidowka“; drugi w czeskim tłómaczeniu Hyneka Bulina pod nazwą „Purkmistr z Hodomil“ opuścił prasy drukarskie w Bernie, staraniem wydawcy Józefa Barovica.

— Dowiadujemy się, że w Gdańsku powstaje nowy bank komisowy (Komanditgesellschaft), którego naczelne kierownictwo powierzono pp. Stefanowi Grabskiemu z Inowrocławia i Józefowi Szumanowi z Poznania. Bank ten oparty na poważnych kapitałach trudnić się będzie przedewszystkiem sprzedażą produktów cukrowni, a działalnością swoją obejmie księstwo, Niemcy i Królestwo polskie. Korzystając z traktatów handlowych rozszerzy młoda instytucya niebawem zakres czynności swoich, a my przesyłamy szczere życzenia tej nowej gałęzi przemysłu polskiego nad Bałtykiem.

— Koniec teatru Wolnego. Pod nazwą „Théâtre Libre“ istniała w Paryżu odlat kilku scena, która otwierała zawsze swoje podwoje na przyjęcie nowego dzieła, odznaczającego się jakimś radykalnym pierwiastkiem. Prowadził scenę niejaki p. Antoine w ciągu lat siedmiu z odwagą niewątpliwą, wbrew rutynie i przyzwyczajeniu publiczności, torując nowe drogi dla sztuki. Uczęszczanie do teatru Wolnego nie należało do rzeczy towarzyskich, a kobiety unikały przedstawień, gdyż mogła je tam spotkać nieprzyjemna niespodzianka. Ale trzeba panu Antoine'owi oddać tę sprawiedliwość, że świat zapoznał z dziełami młodych zwłaszcza autorów, którzyby nie znaleźli miejsca dla siebie gdzieindziej. Na scenie tej służono bezwzględnej prawdzie przedstawienia, dbano o utwory niechętnie widziane w innych teatrach, a ztąd wzrosła oryginalność teatru Wolnego i jego powodzenie. Obecnie dyrektor zrobił na tym teatrze majątek i zamknął go, jako dla siebie zbyteczny.

— Benzyna jako narkotyk. Dr. Ernest Rosenthal z Magdeburga zwraca uwagę szerszych kół na narkotyzowanie się benzyną, które szerzy się coraz bardziej i zamienia w nałóg równie niebezpieczny, jak nadużywanie etero i chloroformu, tak bardzo rozpowszechnionego wśród ludności irlandzkiej. Dr. Rosenthal przypadkiem zupełnie odkrył tę namiętność. Pewnego dnia zapisał się do szpitala 48-letni bandażysta, który cierpiał na wielkie osłabienie. Wyznał on lekarzow, że dawniej pił dużo spirytualjów, ale że od sześciu miesięcy nie miał ani kropli wódki w ustach, natomiast wdychał parę benzynową, a benzynę miał zawsze w obfitych ilościach do rozporządzenia przy swojem zajęciu, i to zastąpiło mu w zupełności alkohol. Początkowo doznawał rozkosznego uspokojenia, miewał przyjemne sny. Narkotyzowania się benzyną nauczył go kolega, pochodzący z południowych Niemiec. Z czasem wszakże uspakajające działanie benzyny ustało; zaczęły się halucynacje, chory słyszał przykrą muzykę katarynek, wrzaskliwy śpiew jakichś znanych głosów, czerwone mrówki biegały mu po ciele, widział różne postacie zwierzęce i małych ludzi, raz zdawało mu się, że cały pokój pełen jest różnokolorowych, snujących się w tę i w ową stronę nitek jedwabnych. Wszystko to są objawy zaczynającego się obłędu z pijaństwa. Pracodawca owego bandażysty oznajmił nadto doktorowi Rosenthalowi, że kilkakrotnie spotykał jednego ze swoich uczniów, siedzącego na schodach i trzymającego przy twarzy chustkę, przesiąkniętą benzyną; zaskoczony chłopiec zrywał się i zataczał jak pijany. „Tägl. Rundschau“, pismo berlińskie, z którego powyższą wiadomość czerpiemy, dodaje, że w literaturze medycznej znane są podobne fakty narkotyzowania się benzyną w Warszawie. Między kobietami, zajmującemi się praniem rękawiczek, nałóg ten ma być dosyć rozpowszechniony.

— Wynalazek Polaka. Rodak nasz p. Bogusław Szczawiński, obecnie w Elberfeldzie mieszkający, wynalazł aparat, umożliwiający każdemu pryncypałowi dokładną kontrolę sprzedanych towarów i ilości wpływających do kasy pieniędzy; sprzeniewierzenie bez wiedzy pryncypała jest odtąd absolutnie niemożliwem. Przyrząd ten oddał p. Szczawiński w Niemczech i w różnych krajach europejskich, jako i w Stanach Zjednoczonych do patentu i wyśle też swój wynalazek na wystawę do Lwowa. Przyrządy są dwojakie, mniejsze, stojące na stołach i większe, przymocowane do ściany; pierwszy służy do kontrolowania jakichkolwiek przedmiotów, wychodzących ze składu, jako też do kontrolowania zamówień telefonem. Pierwszorzędne handle w Elberfeldzie zaprowadziły aparat p. Szczawińskiego, a świadectwa i pisma dziękczynne, jakie p. Szczawiński odebrał, świadczą o praktyczności i znakomitości tego aparatu.

Zmarli:

— Floryan Bohdanowicz, były docent po litechniki lwowskiej, autor „Pamiętnika więźnia stanu“ tłumacz Syberyi Kennana, w 54 roku życia.

— Angelo Brofferio, filozof włoski, profesor Akademii medyolańskiej, lat 48.

— Karol Diederich, redaktor „Norddeutsche Allgemeine Zeitung“, w Berlinie.

— Dr. Dorrenburg, proboszcz katolicki w Suchteln, historyk, w Rhondorfie.

— Germán Hermández, hiszpański malarz i pisarz w zakresie sztuki w Murcyi.

— Brian Houghton Hodgson, oryentalista angielski, odkrywca oryginału biblii budyjskiej, lat 94.

— Jan Milberg, dyrektor obserwatoryum fizycznego w Tyflisie, znany w nauce z badań nad magnetyzmem ziemskim, lat 53.

— Włodzimierz Meżow, zasłużony bibliograf, w Petersburgu, lat 63.

— Achund Zade, znawca Koranu i historyi perskiej, obdarzony niezwykłą pamięcią, w Lenkoranie przeżywszy lat 112.

— Ignacy Ingorowka, utalentowany belletrysta gruziński, znany pod pseudonimem „Ninoszwili“ w Czanteti, w powiecie Ozurgeckim gubernii Kutaiskiej lat 25.

BIBLIOGRAFJA.

— Cybulski N. dr. prof. Spirytyzm i hypnotyzm. Kraków 1894- Cena 0,80 mrk.

— A. R. W. Sieroca dola. Studyum z natury. Lwów 1894. Cena 1,80 mrk.

— Stanisław Pallan. Dzieje Polski treściwie napisane. Tarnów 1894. Wydawnictwo Seweryna Udzieli i Stanisława Pallana. Cena 5 fenygów.

— Wacław Sirko. Na kresach losów. Opowiadanie. Petersburg 1894. Cena 4,50 mrk.

— Włodzimierz Zagórski. Poezye. Z teki Chochlika. Nowa serya. Warszawa 1894. Cena 3,00 m.

— Jadwiga Chrząszczewska i Felicya Ginejko. Lutnia dziecięca. Warszawa 1894. Cena 2,25 mrk.

— Wilhelm Feldman. Asymilatorzy, Syoniści i Polacy Z powodu przełomu w stosunkach żydowskich w Galicyi. Wydanie drugie. Lwów 1894. Cena 0,60 mrk.

— Edmund Cenar. Ćwiczenia maczugami. Lwów 1884. Cena 1,20 mrk.

— I. S. Sztuka a socyalizm. Kraków 1894. Cena 0,40 mrk.

— M. Radziszewski. Podręcznik dla miłośników oper. Warszawa 1894. Cena pojedyńczego zeszytu 0,25 mrk.

Odpowiedzi Redakcyi.

— K. 100. Ola Hansson jest Duńczykiem. Utwory swoje pisze w języku rodzinnym, a żona jego, Laura Marholm, przekłada je na język niemiecki. Krytyka podniosła przedewszystkiem niezrównany czar stylu w nowellach jego i studyach.

— N. N. Racz się Pani zgłosić po bliższe informacye do „Meteorologisches Institut“ w Berlinie.

— Masinissa. „Kwiaty grzechu“ Baudelair'a ukazały się w ubiegłym roku w Warszawie w przekładzie A. Langego.

— Szczęsnemu. Piszesz Pan:

„O nie mów, luba, że twój sługa kłamie,
„Bo u stóp twoich pióro moje złamię.“

Radzimy Panu szczerze spełnić pogróżkę.

— Aldonie. Postanowienie Pani wstąpienia na uniwersytet pochwalamy. Nowość stosunków i praca naukowa prędzej uleczy bóle tajone niż „wyśpiewanie“ zawodów. Wszelkiemi wskazówkami chętnie służymy

— Anonimowi z Tarnowa. Za adresy podane dziękujemy uprzejmie. Książki żądane wyślemy w bieżącym tygodniu.

— R. R. Pismo nasze liczyć się nie może z względami na czytelniczki-pensyonarki.

— Teodorrze. Podzielamy oburzenie Pani. Artykuł ten, drukowany ciceronem, na pierwszej stronnicy „najpoważniejszego“ organu prowincyi naszej jest pod względem stylu, treści i logiki prawdziwą potwornością.

Sprostowanie.

— W „Przeglądzie Poznańskim“ z ubiegłego tygodnia czytać należy na pierwszej stronnicy zamiast Nr 17 — Nr. 12.

Od Administracyi.

Czas odnowić przedpłatę.

Za nakład i redakcyą odpowiedzialny: Masław Zmorski z Poznania. — Nakładem: „Przeglądu Poznańskiego.“ Czcionkami W. Simona w Poznaniu.